DZWONY

Drukarnia Narodowa w Krakowie.

Gabryel D'Annunzio

DZWONY

Przełożył
ZYGMUNT KŁOŚNIK

Lwów 1906
Księgarnia Polska B. Połonieckiego.
Warszawa: E. Wende i Ska.

DZWONY.

Marzec przyniósł mu katusze miłości. Parę nocy oka Biasce nie zmrużył; w całem ciele czuł żar, swędzenie i kłócie, jakby przez skórę jego przeciskały się kolce, gałęzie, krzaki całe róż dzikich. Do jego izdebki na poddaszu wciskał się, nie wiedzieć skąd, świeży i silny zapach soków roślinnych, młodego głogu i kwitnących drzew migdałowych...

Na świętą Barbarę! Kiedy ostatni raz widział Zolfinę, stała właśnie oparta o drzewo migdałowe, a wzrok jej śledził duże łodzie żaglowe na pełnem morzu. Nad jego głową unosił się w słonecznem świetle biały, balsamiczny obłok kwiecia, dokoła niej kołysała się niebieska fala kwitnącego lnu, w jej oczach zakwitły dwie niezapominajki, a w jej sercu z pewnością także kwitły kwiaty.

Na nędznem swojem łóżku rozmyślał znów

Biasce o tem słońcu promienistem, o tym całym bezmiarze przędzy wiosennej. I na horyzoncie, w dali zajaśniał już pasek morza Adryatyckiego w pierwszych, nieśmiałych przebłyskach porannego światła, kiedy Biasce wstał i po schodach drewnianych wydrapał się aż do gniazd jaskółczych, pod sam szczyt dzwonnicy.

Nieruchomo wisiały trzy dzwony, zdobne w arabeski — trzy spiżowe ciała i czekały, kiedy im ręka Biasce'a każe zabrzmieć w porannem tchnieniu tryumfalnymi dźwiękami.

I Biasce chwycił za sznury. Za pierwszem szarpnięciem drgnął największy dzwon, Wilczyca, aż do głębi: otworzył swoją wielką paszczę, zamknął i znów ją otworzył; fala metalicznych tonów, poprzedzająca przeciągły poszum, wypłynęła ponad wszystkie dachy, a wiatr poniósł ją w dół — wzdłuż całego wybrzeża. I dźwięki przewalały się coraz prędzej i prędzej. W spiż wstąpiło życie; stał się podobnym do czegoś strasznego, co szalało z gniewu, czy z miłości; kołysał się groźnie to w prawo, to w lewo, pokazując swoją paszczę rozwartą, przyczem słychać było dwa głębokie tony, którym nieprzerwanie towarzyszył pomruk; nagle, przerywa się

rytm, ruch staje się szybszym, aż w końcu przechodzi w cały ogrom czystej jak kryształ harmonii i uroczyście rozbrzmiewa w przestrzeni. W dole potoki tonów i wzrastające fale światła spędzają sen z niw; mgły wznoszą się, złocą i rozchodzą zwolna w jasności poranka; miedzianemi barwy mienią się wzgórz zbocza. I naraz inny rozlega się dźwięk: muzyka Sowy — chrypliwy, szorstki, złamany ton, jakby zajadłe kłapanie obok wycia drapieżnego zwierza... A później rozległo się szybkie atakowanie Śpiewaczki — wesołe, jasne, ożywione, podniecające bicie, podobne do uderzeń gradu w kryształową kopułę. Wśród tego zaczynają rozbrzmiewać dźwięki dalszych, zbudzonych także dzwonów. Tam, w dole, z czerwonawej, wznoszącej się między dębami wieży San Rocca, z wieży Świętej Teresy, tej olbrzymiej, złamanej głowy cukru, z dzwonnicy San Franco, z klasztoru... dziesięć, piętnaście metalicznych głosów, które wesołą, a potężną melodyę niedzielnego hymnu roznoszą po polach w tryumfującem świetle poranka.

Biasce upajał się tą wrzawą. Trzeba go było widzieć, tego kościstego, nerwowego chłopca, z wielką, czerwoną blizną na czole, kiedy, przy-

czepiwszy się jak małpa do sznurów, pracował, zadyszany, ramionami, dając się porywać swojej ulubionej Wilczycy, kiedy aż pod dach wyłaził, ażeby Śpiewaczce podczas głuchego drgania tamtych dwóch, poskromionych potworów, ostatnie dać uderzenia.

Tam na górze był królem. Gęsty bluszcz piął się po zmurszałym, starym murze, z odmłodzoną siłą; wił się dokoła wiązań dachowych, jak dokoła żywych pni drzewnych, przystrajał gzymsy w festony z szklących się, jakby emaliowanych liści, wciskał się między cegły, gdzie gniazda, stare i nowe, wypełniały świegocące już miłośnie jaskółki. Nazywano go waryatem, biednego Biasce'a; ale tu na górze był królem i poetą. Kiedy czyste niebo roztaczało swoje sklepienie nad kwitnącemi polami, kiedy morze Adryatyckie jaśniało od słońca i pomarańczowych żagli, kiedy na ulicach roiło się od ludzi pracowitych, on siedział tam na górze u szczytu dachów swoich dzwonów, jak sokół dziki; bezczynny, z twarzą przytuloną do swojej Wilczycy, tego strasznego a dziwnie wspaniałego zwierza, który mu czoło pewnego wieczora rozpłatał, pukał od czasu do czasu palcami po dzwonie, ażeby się wsłuchiwać w jego przecią-

gle, cudne wibracye. Obok niego połyskiwała Śpiewaczka, jak klejnot w swojej szacie z arabesków i cyfr i z płaskorzeźbą świętego Antoniego; nieco dalej Sowa ukazywała swoje stare, przez całą swoją długość pęknięte ciało i rozpryśnięte wargi. A sama ta cisza nad dzwonami, te przepiękne, daleko sięgające marzenia, ten polot myśli, pełnych cierpień i pragnień! A jak uroczym i powabnym był obraz Zolfiny, gdy się unosił ponad tem morzem tonów w porze upalnego południa, albo gdy się rozpływał o mroku, w czasie, gdy Wilczyca rozbrzmiewała tonami smętnej melancholii, a dźwięki jej zamierały w skardze.

Pewnego kwietniowego popołudnia spotkali się za orzechowemi drzewami, pod niebem, które u zenitu mieniło się barwami opalu, a na zachodzie fioletowe ukazywało plamy. Nuciła, kosząc trawę dla krowy. Zapach wiosny sprawiał jej zawrót głowy, jak woń słodkiego moszczu w jesieni. Gdy się pochylała naprzód, stanik jej odstawał i przystawał do ciała, jakby się z nią pieścił; i Zolfina pod wpływem tych pieszczot przymykała oczy.

Biasce zbliżył się do niej chwiejnym krokiem

w czapce nasuniętej na tył głowy, z bukiecikiem gwoździków za uchem. Biasce niebrzydkim był chłopcem; miał duże, czarne oczy, w których przebijał się jakiś dziwny smutek, jakiś rodzaj tęsknoty, oczy, przypominające pewne więzione zwierzęta, a w głosie jego był jakiś urok szczególny, coś głębokiego, coś, co nie zdawało się ludzkiem — nie umiał mu nadawać żadnej modulacyi, żadnej miękkości. Tam tylko, na górze, w towarzystwie dzwonów, w wielkiej samotności, głos jego przybierał pełne brzmienie, metaliczne tony, głębokie dźwięki gardłowe.

— Co porabiasz, Zolfino?

— Ot, co robię! Koszę trawę dla krowy ojca Michała, — odpowiedziało dziewczę z bijącem sercem, pochylając się, ażeby trawę zgromadzić.

— Ach, Zolfino! Ten cudowny zapach, czujecie? Byłem na wieży; widziałem barki, które wiatr pędził po morzu, a wy przechodziliście w dole i śpiewaliście... Śpiewaliście: „Kwiateczki w trawie“.

Biasce zbladł, pochylił się nagle ku trawie i w tej lubieżnie świeżej woni roślinnej, rozgo-

rączkowane ręce jego szukały rąk Zolfiny, która poczerwieniała, jak węgle rozżarzone.

— Może wam pomódz? — rzekł chrypliwym głosem.

Dwie wielkie, ładne, rozkochane jaszczurki przemknęły jak strzała po łące i znikły w tarninie.

Biasce chwycił Zolfinę za rękę.

— Puść mnie! — wyszeptało biedne dziewczę omdlewającym głosem — Puść mnie, Biasce!

Potem przytuliła się do niego, pozwoliła się całować, odwzajemniała mu pocałunki i mówiła: „nie, nie!“ podczas gdy mu nastawiała usta, usta soczyste i czerwone jak wiśnie.

Miłość ich z trawą rosła; a trawa wznosiła się, wznosiła jak fala wodna; a wśród tej fali zielonej tworzyła Zolfina, stojąc prosto, w czerwonej chusteczce na głowie, jakby bujny, nęcący kwiat maku. Jakąż pogodą tchnęły te piosnki jej, tu pod szeregiem niskich jabłoni i morw białych, wzdłuż zarośli splątanych powojem, w polu zasadzonem żółtawą rozsadą, podczas gdy tam, u Świętego Antoniego, Śpiewaczka na wesołą wydzwaniała nutę.

Pewnego dnia jednak, gdy Biasce ze swieżo

zerwanym bukietem lewkonij, oczekiwał na nią przy źródle, nie przyszła Zolfina. Leżała w łóżku, chora na czarną ospę.

Biedny Biasce! Gdy się o tem dowiedział, uczuł, że krew w nim zastyga i zachwiał się silniej, aniżeli owej nocy, kiedy Wilczyca rozpłatała mu czoło.

A jednak musiał się wydrapywać na dzwonnicę i wytężać ramiona, ażeby ciągnąć za sznury od dzwonów, on, któremu zwątpienie wkradło się do serca, w tę niedzielę palmową, w tę przepiękną, słoneczną porę gałązek oliwnych, strojnych sukien, obłoków dymu z kadzielnic, pienia i modłów, podczas gdy jego Zolfina, Bóg wie, jakie musiała znosić męki, Matko Niebieska, Bóg wie jakie męki!

Straszne chwile nastały dla niego! Jak tylko się ściemniło, zakradał się Biasce pod dom chorej, przystawał na chwilę pod zasłoniętemi oknami, przez które z wewnątrz przezierało światło i zapuchniętemi z płaczu oczyma patrzył na przesuwające się na szybach cienie; wsłuchując się, przyciskał ręką serce, które z bólu pęknąć mu chciało, a potem odchodził i krążył jak oszalały w pobliżu, albo uciekał na dzwonnicę. Długie

godziny nocy przepędzał przy nieruchomych dzwonach, skulony w strasznej trwodze, na ziemi, bledszy od śmierci. Pod nim, w świetle księżyca i ciszy zatopionych ulicach ani żywej duszy; przed nim posępne morze ze swojemi kędzierzawiącemi się falami, które z monotonnym szumem rozbijały się o opustuszałe brzegi; nad nim — niebo.

A tam, w dole, pod dachem, zaledwie widocznym, leżała w śmiertelnej walce Zolfina, bez ruchu rozciągnięta na łóżku, z twarzą tak obsypaną ropiącemi krostami, że wydawała się prawie czarną, ciągle niema, podczas gdy światło świecy bladło przy białym blasku porannego świtu, a nad szeptem pacierzy górowały wybuchy bolesnego łkania. Dwa czy trzy razy podniosła z trudem jasnowłosą głowę, jakby coś powiedzieć chciała; ale słowa uwięzły jej w gardle, brakło jej tchu, ciemno się dokoła niej zrobiło. Poruszała wargami z przytłumionem rzężeniem, jak duszone jagnię, wreszcie zesztywniała i zastygła.

Biasce odwiedził swoją biedną zmarłą. Ogłupiały, spoglądał na trumnę zarzuconą świeżymi, wonnymi kwiatami, pod którymi spoczywało ze-

szpecone, zaczynające się już rozkładać pod białym całunem ciało młodej dziewczyny. Ukryty w tłumie patrzył krótką chwilę; potem wyszedł, wrócił do dzwonnicy, przystanął w połowie drewnianych schodów, chwycił za sznur Śpiewaczki, zrobił pętlicę, założył ją na szyję i dał się unieść w próżnię.

Rozpęd wieszającego się był tego przyczyną, że wśród ciszy Wielkiego Piątku rozległ się niespodziewanie krótki, srebrny, wesoły dźwięk Śpiewaczki, a z dachu dzwonnicy jaskółki wzleciały pod słońce.

EPISCOPO I SP.

Chce pan wiedzieć... Co pan chce wiedzieć, mój panie? Co panu mam powiedzieć? Co?... Wszystko!... A więc dobrze! wszystko panu opowiem, od początku.

Wszystko od początku! Jakże to mam zrobić? Nic już nie wiem. Zapewniam pana, że nic sobie już nie przypominam. Cóż robić, mój panie? Cóż robić?

O mój Boże! Tak, to jest... Poczekaj pan, proszę. Trochę cierpliwości. Proszę o trochę cierpliwości, bo nie umiem dobrze mówić... Nie pamiętam dobrze... Nie wiem, czy potrafię panu opowiedzieć...

Milczący byłem w owym czasie, kiedy z tym człowiekiem przestawałem! Zawsze byłem milczący, nawet kiedy piłem.

Nie, nie, nie zawsze. Z nim mówiłem, ale tylko z nim samym. Często w letnie wieczory

na przedmieściu, albo także w publicznych ogrodach bywało... opierał swoją rękę na mojem ramieniu, swoją biedną, chudą rękę, taką wątłą, że zaledwo ją czułem. I szliśmy we dwójkę na przechadzkę i bawiliśmy się.

Jedenaście lat — pomyśl pan, mój panie, — miał dopiero jedenaście lat, a mówił tak logicznie jak dorosły człowiek, i smutny był zawsze. Można było myśleć, że zna życie, całe życie i że wszystkich cierpień doświadczył. Jego usta znały już gorzkie słowa, które tak bolą i których się nie zapomina!

Ale czy są ludzie, którzy coś zapominają? Czy są tacy?

Powiedziałem panu, że już nic nie wiem, nic sobie nie przypominam... To nieprawda.

Przypominam sobie wszystko, wszystko, wszystko! Słyszy pan? Przypominam sobie jego słowa, jego spojrzenia, jego łzy, jego westchnienia, jego krzyki, każdy najdrobniejszy szczegół z jego życia od chwili urodzenia aż do chwili śmierci.

Nie żyje. Dwa tygodnie temu już umarł, a ja, żyję jeszcze. Ale ja muszę umrzeć, a im prędzej tem lepiej. Moje dziecko chce, żebym

przyszedł do niego. Co noc przychodzi do mnie, siada i patrzy na mnie. Bosy jest, biedny Ciro! i muszę wytężać słuch, żeby jego kroki usłyszeć. Jak tylko noc zapadnie nasłuchuję, nasłuchuję bez przerwy. A kiedy nogę na progu postawi, to tak mi jest, jak gdyby ją na mojem sercu postawił, ale tak delikatnie, tak delikatnie, że mi żadnego bolu nie sprawia, tak lekko jak pióro... Biedaczysko!

Co noc przychodzi teraz boso. A niech mi pan wierzy, że za życia nigdy nie chodził boso, nigdy, przysięgam panu.

Coś panu powiem. Niech pan dobrze uważa. Gdyby panu jakaś droga istota miała umrzeć, niech pan pamięta, żeby jej nic nie brakowało w trumnie. Niech ją pan ubierze, jeżeli pan umie, własnemi rękami. Niech ją pan ubierze zupełnie, jak najstaranniej, jakby znów miała zbudzić się do życia, wstać i wyjść. Nic nie powinno brakować temu, kto ten świat opuszcza. Nic, niech pan o tem pamięta.

Widzi pan tutaj te małe trzewiczki... Ma pan dzieci?... Nie. W takim razie nie może pan wiedzieć, nie może pan zrozumieć, jakie znaczenie ma dla mnie ta nędzna para trzewiczków, tych

trzewiczków, w których tkwiły jego nogi, które zachowały formę jego nóg. Tego nie potrafiłbym panu nigdy wytłumaczyć, nie potrafiłby tego żaden ojciec, żaden.

W chwili gdy weszli do pokoju, ażeby go zabrać, czy nie leżały wszystkie jego rzeczy na krześle, obok jego łóżka? Dlaczegóż wówczas myślałem tylko o trzewikach. Dlaczego pełen trwogi szukałem ich pod łóżkiem z tem uczuciem, że serce moje pęknąć by musiało, gdybym ich nie znalazł. Dlaczego je schowałem, jakby w nich pozostała cząstka jego życia? O, tego pan nie może zrozumieć.

Jakże często w zimne zimowe ranki, gdy czas był do szkoły... Biedne dziecko cierpiało na odmrożenie. Jego nogi były w zimie jedną krwawą raną. I ja go obuwałem w trzewiki, sam go obuwałem. Tak dobrze to umiałem! Potem się nachylałem, ażeby je zasznurować i czułem jego z zimna drżące ręce, oparte na moich ramionach, i robiłem to dłużej jak było potrzeba... Ale pan tego nie może zrozumieć.

Kiedy umierał, miał tylko tę jedną parę, którą pan tu widzi. I ja mu ją zabrałem. I z pewno-

ścią pochowano go tak, jak jakie biedne dziecko. Czy nikt go nie kochał oprócz jego ojca?

Co wieczora stawiam teraz te trzewiki, jeden przy drugim, na progu, dla niego. Gdyby je tak zobaczył, przechodząc? Może je widzi, ale nie rusza ich. Może wie, że oszalałbym, gdybym ich którego ranka na zwykłem miejscu nie znalazł...

Może pan myśli, że ja zwaryowałem? Nie? Zdawało mi się, że czytam to w pańskich oczach... Nie, mój panie, nie zwaryowałem jeszcze. To, co panu opowiadam, jest prawdą. Wszystko jest prawdą. Umarli wracają.

I tamten także czasem wraca. O, jaki straszny! O, Boże, Boże, jaki straszny.

Widzi pan, po całych nocach drżałem tak, jak teraz, dzwoniłem zębami, zdawało mi się, że strach wykręca wszystkie moje członki, i czułem aż do rana, że włosy jak szpilki sterczą mi na głowie. Czy nie pobielały mi włosy?

Dziękuję panu, mój panie. Widzi pan, nie drżę już. Chory jestem, bardzo chory. Ileż dni pozostaje mi jeszcze do życia? Jak pan myśli, sądząc z mojego wyglądu? Pan wie, że umrzeć muszę, a im prędzej, tem lepiej.

Tak, tak, jestem spokojny, zupełnie spokojny. Wszystko panu opowiem, od początku, jeżeli sobie pan życzy; wszystko po kolei. Niech mi pan wierzy, jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach.

A więc rzeczy się tak miały. Było to przed dwunastu albo trzynastu laty w pewnym domu, w nowej dzielnicy miasta, w pewnego rodzaju pensyonacie. Było nas coś dwudziestu, częścią młodych, częścią starszych urzędników. Jadaliśmy tam wieczorem o jednej porze przy wspólnym stole. Znaliśmy się wszyscy mniej lub więcej, chociaż nie wszyscy pracowaliśmy w jednem biurze. Tam to poznałem Wanzera, Giula Wanzera, przed dwunastu czy trzynastu laty.

Czy... czy... widział pan trupa?... Czy nie uderzyło pana nic szczególnego w tej twarzy, w tych oczach?... Ah, zapominam, oczy miał zamknięte... Ale nie obydwa, nie, nie obydwa. To wiem aż nadto dobrze. Muszę umrzeć, i niechby już, byle się tylko pozbyć wrażenia tej powieki na moich palcach... Nie mogłem jej przymknąć... Czuję ją, czuję ją tutaj, zawsze, jakby się kawałeczek tej skóry przylepił...

Tak, to prawda. Nie trzeba o tem myśleć. Proszę mi darować. Nie będę już odbiegał od przedmiotu. Na czem to ja stanąłem? Tak dobrze szło z początku. I nagle zaplątałem się. To z pewnością dlatego, że nic nie jadłem, nic innego. Nie, nic innego. Od dwóch dni prawie nic w ustach nie miałem.

Przypominam sobie z dawnych lat, że zawsze, kiedy miałem próżny żołądek, dostawałem pewnego rodzaju zawrotu głowy — dziwne! Było mi, jakbym miał zemdleć. Widziałem rzeczy... Ah, przypominam sobie już. Ma pan racyę. Powiedziałem: Tam to poznałem Wanzera.

Opanował tam wszystkich. Tyranizował wszystkich, nie znosił opozycyi. Zawsze przemawiał podniesionym głosem, a czasem nie kończyło się na słowach. Nie było wieczora, żeby się z kimś nie pokłócił. Nienawidzono go i bano go się jak tyrana. Wszyscy źle o nim mówili, buntowali się przeciwko niemu, spiskowali, ale skoro tylko się zjawił, zamilkali nawet najodważniejsi. Bojaźliwi uśmiechali się do niego i pochlebiali mu. Cóż ten człowiek miał w sobie?

Nie wiem. Przy stole siedziałem prawie naprzeciwko niego. Mimowoli musiałem zawsze

patrzeć na niego. Doznawałem dziwnego uczucia, którego nie potrafiłbym określić: coś mię równocześnie pociągało i odpychało, coś, co nie da się opisać. Było to podobne do złośliwej, bardzo złośliwej siły magnetycznej, którą ten tęgi, krwisty i brutalny człowiek mnie słabego, chorowitego, pozbawionego woli i, mówię otwarcie, trochę tchórza trzymał w swo'ej mocy.

Pewnego wieczora, pod koniec obiadu, przyszło między Wanzerem a niejakim Inglettim, który siedział koło mnie, do gwałtownej sprzeczki. Wanzer mówił, swoim zwyczajem, podniesionym, podrażnionym tonem. Ingletti, któremu widocznie wino dodało odwagi, stawiał się zuchwale. Siedziałem prawie bez ruchu, nie śmiałem podnieść oczu od talerza i czułem jakby kurc‾e w okolicy żołądka. Naraz, Wanzer porwał szklankę i rzucił ją na swego przeciwnika. Rzut chybił celu i szklanka rozbiła się na mojem czole, tu, gdzie pan widzi tę bliznę.

Jak tylko uczułem ciepłą krew na mojej twarzy, straciłem przytomność. Kiedy znów przyszedłem do siebie, miałem jnż obwiązaną głowę. Wanzer stał nademną ze skruszoną miną. Powiedział parę słów usprawiedliwienia. Odpro-

wadził mię razem z doktorem do mego mieszkania. Pomagał przy zakładaniu drugiego bandaża i siedział u mnie do późnej nocy. Nazajutrz rano był znów. Przychodził często. I to był początek mojej niewoli.

Jak pies, który się boi: takie było moje zachowanie się wobec niego. Nic na to nie mogłem poradzić. Kiedy do mnie przychodził, rządził się jak pan. Otwierał moje szuflady, czesał się moim grzebieniem, mył sobie ręce w mojej miednicy, palił moją fajkę, przeglądał moje papiery, czytał moje listy i zabierał ze sobą co mu się podobało. Z każdym dniem stawała się jego tyrania straszniejszą i z każdym dniem poniżałem się więcej i coraz bardziej upadałem na duchu. Nie miałem już ani cienia własnej woli. Poddawałem się bez oporu.

Za jednym zamachem pozbawił mię wszelkiego poczucia ludzkiej godności, z taką samą łatwością, z jaką mógłby mi wyrwać włos z głowy.

A jednak nie stępiały moje zmysły. O, nie. Miałem świadomość wszystkiego, co się ze mną działo, bardzo jasną świadomość wszystkiego: mojej niemocy, mojego upokorzenia, a przede-

wszystkiem mojej absolutnej niemożliwości wydobycia się z pod wpływu tego człowieka.

Nie umiałbym panu naprzykład opisać głębokiego a niejasnego uczucia, jakie mi sprawiała moja blizna. I nie umiałbym panu wytłumaczyć strasznego wzruszenia, jakiego doznałem, kiedy pewnego dnia mój kat ujął moją głowę w swoje ręce, ażeby zbadać świeżą jeszcze, jątrzącą się ranę. Cisnął ją na różne sposoby swoimi palcami i mówił:

— Zupełnie jest zamknięta. Za miesiąc nie będzie już nic widać. Możesz Bogu dziękować.

Mnie, przeciwnie, zdawało się, jakbym od tej chwili miał na czole nie bliznę, ale piętno niewoli, płomienny, w oczy wpadający znak, który już przez całe moje życie będę musiał nosić.

Towarzyszyłem mu wszędzie, gdzie chciał. Całemi godzinami czekałem na niego nieraz na ulicy, pod drzwiami. Czuwałem po nocach, przepisując akty dla jego biura. Nosiłem jego listy z jednego końca miasta na drugi. Setki razy dreptałem po schodach, prowadzących do kasy pożyczkowej, biegałem bez tchu od jednego do drugiego lichwiarza, ażeby wydobyć pieniądze, które miały być dla niego ratunkiem. Setki razy

stałem w jaskini gry za jego krzesłem do białego rana, śmiertelnie znużony, dusząc się z dymu, narażając na wybuchy jego wściekłości. Kaszel mój gniewał go, i mnie przypisywał swoje nieszczęście w grze w karty. A potem, kiedy się zgrał i kiedyśmy wyszli z nory, ciągnął mię za sobą, jak szmatę, po odludnych ulicach, w wilgotnej mgle, klnąc i gestykulując, dopóki nam ktoś kieliszka wódki nie zapłacił.

Ach, panie, kto mi odsłoni tę tajemnicę? A więc są ludzie na świecie, którzy spotykają drugich i mogą z nimi zrobić, co im się podoba, mogą z nich zrobić niewolników. A więc jest sposób odebrania komuś woli tak, jakby to była słomka, którą mu można z pomiędzy palców wyciągnąć? A więc to jest możliwe, mój panie? Jakto?

Wobec mojego kata n i e m o g ł e m n i g d y c h c i e ć. A przecież byłem w pełni zmysłów. Dużo czytałem. Nie jedno wiedziałem. O wielu rzeczach miałem pojęcie. Najlepiej jednak jedno rozumiałem: że byłem z g u b i o n y bez ratunku. W głębi mojej duszy czułem nieustanny lęk, trwogę. Od owego wieczora, kiedy odniosłem tę ranę, pozostała mi bojaźń krwi, widmo krwi.

Czasem, kiedy wracałem z Wanzerem w nocy i musiałem przechodzić ciemny korytarz, ciemne schody, a zapałka nie chciała się od razu zapalić, uczuwałem zimny dreszcz w krzyżach, a włosy zaczynały mi się jeżyć. Prześladowała mię myśl, że ten człowiek zamorduje mię pewnej nocy.

To się nie stało. Stało się natomiast to, co się stać nie miało. Myślałem, że pewnej nocy zginę okrutnie z jego ręki, że to jest mój los nieuchronny. A tymczasem...

Ale proszę słuchać. Gdyby Wanzer owego wieczora nie był wszedł do pokoju Cira, gdybym był nie spostrzegł noża na stole, gdyby się ten obcy człowiek nie był zjawił w moim domu i nie podniecił mojej strasznej trwogi, gdyby...

Prawda! Ma pan racyę. Jesteśmy dopiero na początku, a ja panu mówię o końcu. Nie może pan zrozumieć, zanim panu wszystkiego nie opowiem. Plączę się. Nie mam panu nic więcej do powiedzenia, mój panie. Głowa moja taka lekka, taka lekka. Jak bańka wypełniona powietrzem. Nic więcej nie mam panu do powiedzenia. Amen! Amen!

Przeszło już. Dziękuję panu. Bardzo pan dobry. Zmiłował się pan nademną. Nikt na świecie nie okazał mi współczucia.

Lepiej mi jest. Mogę mówić dalej. Opowiem panu o niej, o Ginevrze.

Po tej historyi ze szklanką niektórzy nasi koledzy opuścili pensyonat. Inni oświadczyli, że zostaną, jeżeli Giulo Wanzer będzie wykluczony. Skutek był taki, że Wanzer dostał od gospodyni pewien rodzaj wypowiedzenia. Nakląwszy, jak zwykle, całemu światu, wyniósł się. A gdy się zabierałem do odejścia, pociągnął mnie za sobą, domagał się, żebym z nim poszedł.

Długi czas błąkaliśmy się od jednej jadłodajni do drugiej, nie mogąc się zdecydować, którą z nich obrać sobie na stałe. Nie było dla mnie nic przykrzejszego nad porę wieczerzy, która dla ludzi zmęczonych bywa chwilą wypoczynku, a niekiedy zapomnienia. Zaledwie coś niecoś jadłem i do tego musiałem się przymuszać. Coraz więcej nie mogłem znosić szmeru, jaki wydawały szczęki moich towarzyszów stołu, potężne szczęki, jak buldogów, któremi mogliby stal skruszyć na drobne kawałki. I zwolna zaczęło się we mnie budzić p r a g n i e n i e, to

pragnienie, które raz zbudzone, trwa już do śmierci.

Pewnego wieczora zostawił mię Wanzer samego, a na drugi dzień mi powiedział, że odkrył bardzo przyjemny lokal, do którego mię chciał zaraz zaprowadzić.

— Znalazłem. Zobaczysz. Będzie ci się podobał.

I rzeczywiście, nowy pensyonat był może lepszy jeszcze aniżeli dawny. Warunki były odpowiednie dla mnie. Zastałem tam paru kolegów z biura i wielu dalszych znajomych. Zostałem więc. Zresztą, wie pan przecie, że niepodobna mi było nie zostać.

Pierwszego wieczora, kiedy podano zupę, zapytało równocześnie dwóch czy trzech stołowników z niezwykłem ożywieniem:

— A Ginevra? Gdzie Ginevra?

Odpowiedziano, że Ginevra chora. Usłyszawszy to, wszyscy chcieli się czegoś bliższego dowiedzieć o chorobie i wszyscy okazywali wielkie zaniepokojenie.

Ale było to tylko lekkie niedomaganie.

Wsród obiadu ze wszystkich ust rozbrzmiewało imię nieobecnej, a z rzucanych od czasu

do czasu dwuznaczników było aż nadto widoczne, że wszyscy ci ludzie, młodzi i starsi, podnieceni byli zmysłowem pożądaniem. Podchwytywałem słowa, które latały z jednego końca stołu na drugi. Naprzeciwko mnie jakiś młodociany rozpustnik opisywał drobiazgowo, z przejęciem twarz Ginevry. A mówiąc, patrzył na mnie, gdyż przysłuchiwałem się z niezwykłem zainteresowaniem. Przypominam sobie, że pojęcie, jakie sobie wówczas urobiłem o nieobecnej, bardzo niewiele różniło się od jej rzeczywistego wyglądu, o czem wkrótce, poznawszy ją, mogłem się przekonać. Nie zapomnę nigdy min, jakie Wanzer robił i namiętnego drgania jego warg, kiedy się w dyalekcie wysilał na sprośne wyrażenia. Przypominam sobie także, że kiedy opuszczałem wówczas pensyonat, opanowało mię już pragnienie niewidzianej jeszcze kobiety i jakiś dziwny niepokój.

Wyszliśmy razem — ja, Wanzer i przyjaciel Wanzera, niejaki Doberti; ten sam, który z takim zapałem opisywał twarz Ginevry. Po drodze opowiadali sobie dwaj przyjaciele w dalszym ciągu o bezwstydnych miłostkach, przystając od czasu do czasu i śmiejąc się do rozpuku. Ja się

trzymałem trochę z tyłu. Smutek, bezmiar ponurych, pomieszanych uczuć rozsadzał mi i tak już goryczy i zwątpienia pełne serce.

Teraz jeszcze, po dwunastu latach, stoi mi żywo ten wieczór w pamięci. Nic nie zapomniałem, pamiętam najdrobniejszy szczegół. I wiem teraz, jak to wówczas czułem, że ten wieczór o moim losie rozstrzygnął. Skąd to przeczucie? Czy to możliwe? Czy to może być? Zwykłe imię kobiece, trzy zgłoski, otwierają przed nami nieuchronną przepaść. A mogliśmy zobaczyć tę przepaść i wiemy, że jest dla nas groźną. Czy to doprawdy możliwe?

Przeczucie, jasnowidzenie, głos wewnętrzny... słowa, nic tylko słowa! Czytałem w książkach... Nie i jeszcze raz nie, rzeczy się mają zupełnie inaczej. Czy pan wnikał kiedy w siebie? Czy pan badał swoją duszę?

Cierpi pan. I cierpienie pańskie wydaje się panu nowem, nigdy nie odczuwanem? Jest pan szczęśliwy. I szczęście to wydaje się panu nowem, nigdy nie przeżywanem? Nieprawda, złudzenie. Wszystko już było odczuwane, wszystko już było. Dusza pańska składa się z tysiąca, ze stu tysięcy cząstek dusz, które już całe życie

przeżyły, które wywołały wszystkie te objawy, które we wszystkich tych objawach brały udział. Czy pan rozumie do czego zmierzam? Proszę uważać; bo to, co panu mówię, jest prawdą, prawdą, odkrytą przez kogoś, co się tem lata całe zajmował, co wnikał ciągle w siebie, samotny pośród ludzi, zawsze samotny. Proszę uważać, bo to jest prawdą o wiele ważniejszą, aniżeli fakty, które pan chce poznać. Aniżeli...

Innym razem? Jutro? Dlaczegóż jutro? A więc pan nie chce, żebym panu myśli moje wyłożył? Ach fakty, fakty, zawsze fakty! Fakty są niczem, same nic nie znaczą. Są rzeczy na świecie, mój panie, które o wiele więcej znaczą.

Dobrze. Ale jeszcze jedna zagadka: Dlaczego prawdziwa Ginevra była w każdym niemal, najdrobniejszym rysie podobną do obrazu, jakim w mojej duszy zobaczył? Zostawmy to jednak. W parę dni zjawiła się znów w jadalni. Obnosiła wazę z zupą, której para twarz jej zasłaniała.

Tak, mój panie, była pokojówką i usługiwała do stołu.

Widział ją pan? Znał ją pan? Rozmawiał pan z nią? Jeżeli tak, to bezwątpienia odczuwał pan

ten nagły, niewytłumaczony niepokój, kiedy się ręki pańskiej dotykała.

Wszyscy mężczyźni ubiegali się o nią. Dziś jeszcze ubiegają się wszyscy i będą się ubiegać. Wanzer nie żyje. Ale ona się postara o innego kochanka, będzie miała stu innych, dopóki jej w tem starość nie przeszkodzi, dopóki jej z ust nie wypadną zęby. Kiedy szła ulicą, oglądał się za nią książe w swojej karecie, stawał żebrak, żeby się na nią popatrzeć. We wszystkich oczach dostrzegałem ten sam blask, czytałem te same myśli.

Teraz zmieniła się bardzo. Wówczas miała lat dwadzieścia. Próbowałem często, daremnie, zobaczyć ją w duszy taką, jaką była wtedy, kiedy ją pierwszy raz ujrzałem. Jest w tem coś tajemniczego. Nie zrobił pan nigdy tego spostrzeżenia? Człowiek, zwierzę, roślina, czy jakikolwiek przedmiot, raz tylko ukazuje się panu w swoim prawdziwym kształcie, a mianowicie w pierwszej, krótkiej chwili, gdy go pan dostrzega. Jest to, jak gdyby panu dawał swoją dziewiczość. Zaraz potem nie jest już tym samym, innym się staje. W pańskiem pojęciu,

w pańskich nerwach dokonywa się jego przeobrażanie, zaćmienie. I dyabli biorą prawdę.

Ach tak! Zazdrościłem zawsze człowiekowi, który pierwszy raz to stworzenie zobaczył. Rozumie pan? Nie, pan mnie z pewnością nie rozumie. Myśli pan, że mówię głupstwa, że się plączę, że wpadam w sprzeczności. To nic. Dajmy temu spokój. Wróćmy do rzeczy.

...Gorąco w pokoju, oświetlonym gazem, takie, że skóra wysycha. Zapach, wyziewy po jedzeniu, rozgwar, nad którym dominuje ostry głos Wanzera, wysilającego się na ordynarne dowcipy. Od czasu do czasu następuje przerwa, milczenie, które mnie strasznie przygniata. I ociera się o mnie ręka, zabiera z przedemnie talerz, stawia drugi, przejmuje mię dreszczem, jak pieszczoty. Dreszcz ten odczuwa każdy przy stole, gdy kolej na niego przychodzi. Widać to. Gorąco oddech zapiera, uszy zaczynają palić, oczy się iskrzą. Pospolity, prawie zwierzęcy wyraz ukazuje się na twarzach tych ludzi, którzy się najedli i napili, którzy osiągnęli jedyny cel codziennego życia. Ten widok ich pożądliwości usposabia mię tak ponuro, że prawie od zmysłów odchodzę. Prostuję się na krześle, przyci-

skam do siebie moje łokcie, ażeby zwiększyć przestrzeń między mną a moimi sąsiadami.

Jeden ze współbiesiadników wrzeszczy na cały głos:

— Episcopo dostaje kolek!

Drugi:

— Nie, Episcopo się delektuje. Czy nie widzieliście jego twarzy, kiedy mu talerz zmieniała Ginevra?

Próbuję się śmiać. Podnoszę wzrok i spotykam się z oczami Ginevry, które z dwuznacznym wyrazem zwrócone są ku mnie.

Wychodzi z jadalni. Wówczas Filippo Doberti stawia żartobliwy wniosek:

— Moi kochani — mówi — niema innej rady. Jeden z nas musi się z nią ożenić... na rachunek drugich.

Innego jeszcze używa zwrotu. Nazywa całą rzecz i rolę, jaką ci drudzy mają przytem odegrać po imieniu.

— Głosować! Głosować! Małżonek musi być wybrany.

Wanzer ryczy:

— Episcopo!

— Firma Episcopo i sp.!

Wrzawa staje się coraz większą. Ginevra wraca. Może słyszała wszystko. Śmieje się z cicha.

Wanzer krzyczy:

— Episcopo, rozpoczynaj konkury!

Dwaj stołownicy występują naprzód i z udaną powagą proszą w mojem imieniu o rękę Ginevry.

Ona, ze zwykłym swoim uśmiechem odpowiada:

— Rozważę to.

— I znów spotykam się z jej wzrokiem. I nie wiem już doprawdy czy to ja jestem tym o którego chodzi, tym o którym mowa, czy to ja jestem tym Episcopem, z którego się tak naśmiewają. I nie mogę sobie wyobrazić, jaki wyraz może mieć moja twarz w tej chwili...

Sen, sen. Ten cały okres mego życia, to jakby sen. Nie może pan zrozumieć lub choćby tylko wyobrazić sobie jakiego uczucia wówczas doznawałem, jak się zachowywałem. Przebyłem we śnie fazę przeżytego już życia. Brałem nieuchronnie udział w całym szeregu wypadków, które się już kiedyś wydarzyły. Kiedy? Nikt tego nie wie. Nadto nie byłem zupełnie pewny, czy to ja s a m jestem. Wydawało mi się często,

jak gdybym stracił moją osobowość chwilowo, jak gdybym miał sztuczną. Jakże pełnymi tajemniczości są nerwy ludzkie!

Będę się starał być treściwym. Pewnego wieczora pożegnała się z nami Ginevra. Powiedziała nam, że porzuca służbę, że się czuje niezdrową, że się uda do Tivoli i tam parę tygodni u siostry przepędzi. W chwili pożegnania wszyscy ku niej wyciągali ręce. A ona, śmiejąc się, powtarzała wszystkim:

— Do widzenia, do widzenia!

Do mnie zwróciła się z uśmiechem:

— Jesteśmy zaręczeni, Episcopo. Proszę o tem pamiętać.

Pierwszy to raz dotknąłem się jej wówczas, pierwszy raz spojrzałem jej w oczy z zamiarem wniknienia aż do głębi jej serca. Pozostała jednak dla mnie zagadką.

Następnego wieczora przeszedł prawie cały obiad w ponurem milczeniu. Wszyscy mieli zwarzone miny.

— Ale pomysł Doberti'ego był niezły — odezwał się nagle Wanzer.

Na co kilku stołowników zwróciło się ku mnie i zaczęli drwić ze mnie na nowo.

Towarzystwo tych głupców stało się dla mnie nie do zniesienia. A jednak nie próbowałem wcale odsunąć się od nich. Uczęszczałem dalej do tego miejsca, gdzie, podczas gdy oni gadali i śmiali się, oddawałem się niejasnym a słodkim dumaniom. Pomimo najgorszych stosunków, pomimo upokorzeń, niepokojów i strachu mojego niewolniczego życia, przebywałem w ciągu wielu tygodni całą skalę, od najsubtelniejszych do najgwałtowniejszych, udręczeń miłosnych. W dwudziestym ósmym roku życia zakwitł nagle w mojej duszy pewien rodzaj spóźnionej młodości, ze wszystką jej tęsnotą, ze wszystką tkliwością, ze wszystkiemi łzami.

Ach, mój panie, proszę sobie wyobrazić ten cud w człowieku, który, jak ja, zestarzał się już, zwiądł, wysechł aż do szpiku. Proszę sobie wyobrazić roślinę, która nagle puszcza kieł na końcu suchej gałązki.

Inne, niezwykłe i niespodziewane zdarzenie wstrząsnęło mną, ogłuszyło mnie. Od kilku dni już wydawał mi się Wanzer jeszcze przykrzejszym i jeszcze drażliwszym niż zwykle. Ostatnie pięć czy sześć nocy przepędził w jaskini gry. Pewnego ranka wszedł do mego pokoju,

szaro blady, jak trup. Rzucił się na krzesło i dwa czy trzy razy otworzył usta, jakby mi chciał coś powiedzieć. Potem, zerwał się raptem i wyszedł z pokoju bez słowa odpowiedzi na moje pytania, nie spojrzawszy nawet na mnie.

Nie widziałem go już tego dnia. Nie widziałem przy obiedzie. Nie widziałem i nazajutrz. Kiedyśmy siedzieli przy stole, wszedł Questori, kolega Wanzera.

— Wiecie już nowinę? — rzekł — Wanzer uciekł.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem dobrze, a raczej nie mogłem uwierzyć. Ale bicie mego serca czułem aż w gardle.

Pytano w zamieszaniu:

— Co ty mówisz? Kto uciekł?

— Wanzer, Giulo Wanzer.

Nie wiem doprawdy, co się ze mną działo. Ale to jest pewne, że pierwszem mojem uczuciem była radość. Siliłem się, żeby ją stłumić. I naraz usłyszałem wybuch złości, gróźb, nienawiści przeciwko temu człowiekowi, który był moim panem i mistrzem.

— A ty? — zwrócił się do mnie jeden z najbardziej rozgoryczonych. — Cóż ty, nic nie mó-

wisz? Wszak byłeś sługą Wanzera? Odniosłeś zapewne za nim kuferek na dworzec?

Drugi rzekł:

— Złodziej naznaczył ci czoło. Karyerę zrobisz.

Inny znów:

— Do kogóż ty wstąpisz teraz na służbę? Może do policyi?

I znieważali mię tak, tylko dlatego, żeby się zabawić kosztem mojej przykrości. Bo wiedzieli, że jestem tchórzem.

Wstałem i wyszedłem. Wyszedłem na miasto, wałęsając się po ulicach na chybił tratił, bez celu. Wolny, wolny! Nareszcie wolny!

Niebo było zasiane gwiazdami, ciepła noc marcowa. Wyszedłem na Quarto-Fontane i skierowałem się ku Kwirynałowi. Ogarnęło mię pragnienie wielkich przestrzeni. Chciałem się napawać w nieskończoność powietrzem, chciałem widzieć gwiazdy, wsłuchiwać się w szum wody, robić coś poetycznego, marzyć o przyszłości. Powtarzałem sobie bez przerwy: „Wolny, wolny! Jestem wolnym człowiekiem“... Byłem jak pijany. Nie mogłem jeszcze zastanowić się, myśli moich zebrać, zdać sobie sprawy z mego poło-

żenia. Wpadałem na dziecinne pomysły. Gotów byłem zdobyć się naraz na tysiąc sposobów, żeby moją swobodę czynem udowodnić. Przechodząc koło jakiejś kawiarni, usłyszałem dźwięki muzyki, które mną do głębi wstrząsnęły. Wszedłem z podniesioną głową. Zdaje mi się, że spoglądałem na wszystkich wyzywająco. Zamówiłem cognac i kazałem flaszkę postawić na stole. Wypiłem dwa czy trzy kieliszki.

Dusiłem się z dymu w tej kawiarni. Kiedy sięgnąłem do głowy, ażeby zdjąć kapelusz, przyszła mi na myśl moja blizna i przypomniały mi się znów okrutne słowa: „Złodziej naznaczył ci czoło“. Wyobraziłem sobie, że wszyscy patrzą na moją bliznę. „Co oni pomyślą? Może pomyślą, że to w pojedynku otrzymana rana?“ I ja, co nigdy bić się nie miałbym odwagi, gotów byłem komuś, ktoby się był przysiadł do mnie, opowiedzieć bez pytania historyę mego pojedynku. Wkrótce potem wszedł jakiś pan i usiadł na krześle, naprzeciwko mnie, po drugiej stronie stołu. Nie spojrzał na mnie, nie prosił o pozwolenie, wcale się nie troszczył o to, odsuwając swoje krzesło, że nogi moje o nie opierałem. To była niegrzeczność, prawda?

Wyszedłem i zacząłem znów na chybił trafił krążyć po ulicach. Oszołomienie opuściło mię nagle. Czułem się nieskończenie nieszczęśliwym, nie zdając sobie dobrze sprawy, dlaczego. Opanował mię coraz bardziej wzrastający niepokój, dręczył mię i podsuwał mi myśli: „A może on jeszcze jest w Rzymie? Może przebrany chodzi po ulicach? Może czeka na mnie pod drzwiami mego mieszkania, ażeby ze mną pomówić? Może czatuje na mnie na schodach?“ Bałem się. Dwa czy trzy razy odwróciłem głowę, chcąc się upewnić, że nikt mnie nie śledzi. Wstąpiłem do drugiej kawiarni, jako do miejsca schronienia.

Późno dopiero, bardzo późno zdecydowałem się wrócić do domu. Każda postać, lada szelest przejmowały mię trwogą. W jakimś człowieku, leżącym w cieniu na trotuarze wyobraziłem sobie trupa. „Ach, dlaczegóż on nie odebrał sobie życia“ — myślałem — „dlaczego nie miał odwagi zabić się? To było jego powinnością“. I czułem, że wiadomość o jego śmierci byłaby dla mnie o wiele lepszem uspokojeniem, aniżeli jego ucieczka.

Spałem mało i bardzo niespokojnie. Rano jednak, jak tylko otworzyłem okna, uczucie ulgi

zaczęło znów przenikać całą moją istotę. Dziwne uczucie, którego pan nie może zrozumieć, bo pan nigdy nie był niewolnikiem.

W biurze dowiedziałem się bliższych szczegółów o ucieczce Wanzera. Dopuścił się grubych nieprawidłowości i sprzeniewierzenia w głównym urzędzie podatkowym, gdzie od roku był urzędnikiem. Rozpisano za nim listy gończe, ale bez rezultatu. Niektórzy utrzymywali, że udało mu się już schronić bezpiecznie.

Odtąd w przekonaniu, że jestem wolny, żyłem tylko moją miłością, moją tajemnicą. Doznawałem uczucia uleczonego z ciężkiej choroby, uczucia ulgi, największej błogości. Płakałem jak dziecko. Ostatnie dni marca i pierwsze dni kwietnia były dla mnie tak pełne słodkich marzeń, że wspomnienie o nich dziś, kiedy umieram, jest mi pociechą w smutku, że się urodziłem.

Przez wzgląd na to wspomnienie, mój panie, przebaczam matce Cira, przebaczam tej kobiecie, która mi tyle złego wyrządziła. Pan, mój panie, nie może zrozumieć, co to znaczy, jeżeli człowiek zatwardziały, zepsuty wskutek cierpień, i krzywd doznanych, odkryje nagle w głębi

swojej istoty delikatniejsze uczucia. Nie może pan tego pojąć, może pan nawet nie wierzy temu, co mówię. Pomimo to, mówię. Są chwile, że — niech mi Bóg przebaczy! — czuję w sobie coś z Chrystusa. Byłem najnikczemniejszym, ale i najlepszym z ludzi.

Pozwól mi pan tylko popłakać trochę. Widzi pan, jak łzy moje płyną. Wszystkie te lata mojego męczeństwa, nauczyły mię tak płakać, bez łkania, bez westchnień, ażeby nie być słyszanym, ażeby nie zasmucić tego, który mię kochał, ażeby tej istocie, która mię do takiej nędzy doprowadziła, nie wyrządzać przykrości. Bardzo niewielu tylko ludzi umie tak płakać, jak ja płaczę. Proszę też pana zapamiętać to sobie. Po mojej śmierci powie pan, że biedny Giovanni Episcopo umiał przynajmniej płakać w milczeniu przez całe swoje życie.

Jak się to stało, że pewnej niedzieli — była to palmowa niedziela — znalazłem się w tramwaju na drodze do Tivoli? Nie zdaję sobie z tego dobrze sprawy. Czy to było w przystępie obłędu czy somnambulizmu? Doprawdy nie wiem.

Działałem na ślepo. Dałem się omamić czemuś, czego nie znałem. Straciłem znów pojęcie rzeczywistości. Było mi, jakby mię otoczyła obca atmosfera, która mię oddzieliła od zewnętrznego świata. Miałem to uczucie nietylko w oczach, ale także w skórze. Nie wiem jak to mam powiedzieć. Kampania naprzykład, ta Kampania, przez którą jechałem, wydawała mi się w nieskończonej dali, niezmierzoną przestrzenią odemnie oddzielona...

Czy może pan sobie wyobrazić taki dziwny stan duszy? Wszystko, co panu tutaj opisuję, musi się panu wydawać niedorzecznem, niemożliwem, głupiem. Ale proszę pamiętać, że aż do dzisiejszego dnia, życie moje upływało bez przerwy w tym bezładzie, w tem zamieszaniu. Paresthesia, dyresthesia... Wymieniano mi nazwy mojej choroby, ale wyleczyć mię z niej nikt nie potrafił. Przez całe moje życie byłem bliski obłąkania, jak człowiek, który pochylony nad przepaścią, oczekuje od chwili do chwili, aż go ogarnie zawrót głowy, ciemń.

Co pan myśli? Czy utracę zmysły, zanim oczy zamknę na zawsze. Czy widzi pan jakie oznaki w mojej twarzy, w moich słowach? Pro-

szę mi powiedzieć otwarcie, mój panie kochany, proszę mi powiedzieć.

A gdybym nie umarł? Gdybym długo jeszcze musiał żyć z nocnymi duchami w domu obłąkanych?

Nie, zapewniam pana, to mię nie przeraża. Pan wie... że w nocy obydwa przychodzą. I kiedyś Ciro, to nie ulega wątpliwości, spotka tego drugiego. Wiem to, przewiduję. A... wtedy... Wybuch szału, wściekłości, wśród nocy... Boże mój, Boże! Czy taki musi być mój koniec?

Halucynacya, tak, nic więcej. Ma pan słuszność. Tak, tak, ma pan słuszność. Potrzebuje pan tylko światło zapalić, ażebym się uspokoił, żebym zasnął. Tak, tak, światło, zwykłe światło. Dziękuję panu, kochany panie.

Na czem to ja stanąłem? Ach, tak, Tivoli.

...Silna woń źródeł siarczanych, a potem dokoła drzewa oliwne, lasy oliwek. A we mnie dziwny nastrój, który się zwolna, jak w wietrze przez przeciąg spowodowanym, wzmaga. Wysiadam. Ulice pełne ludzi. Palmowe gałęzie połyskują w słońcu. Dzwony dzwonią. Wiem, że ją spotkam.

— Ah, pan Episcopo! Pan tutaj?

To głos Ginevry. Ginevra stoi przedemną i wyciąga do mnie obydwie ręce. Jestem nieprzytomny.

Spogląda na mnie i uśmiecha się w oczekiwaniu, że mi się uda coś powiedzieć. Jestże to ta sama kobieta, która w zakopconej, pełnej dymu sali chodziła dookoła stołu i usługiwała? Czy to możebne, że to ona?

Wyjąkałem nareszcie parę słów. A ona powtarza:

— Ale skądże się pan wziął tutaj? Co za niespodzianka!

— Przyjechałem, ażeby panią zobaczyć.

— A więc pan nie zapomniał, że jesteśmy zaręczeni?

I śmiejąc się dodała:

— To moja siostra. Niech pan idzie z nami do kościoła. Zostanie pan cały dzień u nas, prawda? Będzie pan grał rolę narzeczonego. Dobrze?

Była wesoła, rozmowna, pełna powabu, kokieteryi. Miała na sobie zwykłą, skromną, pomimo to jednak ładną, prawie elegancką suknię. Dopytywała się o towarzyszów.

— A ten Wanzer?

Przypadkiem dowiedziała się o wszystkiem z gazet.

— Żyliście w wielkiej przyjaźni, prawda? Nie?

Nie odpowiadam. Następuje krótka chwila milczenia; zdaje się być zamyśloną. Wchodzimy do kościoła bogato udekorowanego palmowemi gałęziami. Klęka obok siostry i otwiera książkę do modlenia. Ja stoję za nią, patrzę na jej szyję, odkrywam mały pieprzyk i przebiega mię dreszcz niewypowiedziany. W tej samej chwili obraca się cokolwiek, i z kącika jej oka trafia we mnie iskra.

Wspomnienie przeszłości znika; niepokój o przyszłość zasypia. Jest tylko teraźniejszość: na całym świecie jest dla mnie jeszcze tylko ta kobieta. Bez niej nie pozostaje mi nic innego, jak tylko umrzeć.

Przy wyjściu z kościoła podaje mi, nic nie mówiąc, gałązkę. Nic nie mówiąc, patrzę na nią i zdaje mi się, że ten wzrok wszystko jej powiedział. Idziemy do domu jej siostry. Zapraszają mnie. Ginevra wybiega na balkon i woła:

— Proszę tutaj, proszę, opali się pan trochę na słońcu.

I stoimy obok siebie na balkonie. Kąpiemy się w słońcu. Nad naszemi głowami rozbrzmiewa odgłos dzwonów. Cicho, jak gdyby do siebie mówiła, rzekła:

— Ktoby to był myślał?

Serce moje napełnia się bezgraniczną czułością. Nie mogę się już utrzymać na nogach. Zmienionym głosem pytam:

— A więc, jesteśmy zaręczeni?

Milczy chwilę. Potem odpowiada, rumieniąc się z lekka, zupełnie cicho, ze spuszczonemi oczyma:

— Chce pan? Więc dobrze, niech będzie!

Wołają nas z wewnątrz. Przyszedł szwagier, inni krewni, dzieci. Występuję w roli narzeczonego, poważnie. Przy stole posadzono mię obok Ginevry.

Przez chwilę ściskamy sobie ręce pod obrusem i jest mi, jakby mię zmysły miały opuścić, tak silnem było uczucie rozkoszy, zbudzone tem dotykaniem. Od czasu do czasu zwracają się na mnie spojrzenia szwagra, siostry, krewnych z dziwną ciekawością.

— Ale jakże się to stało, że nikt o tem nie wiedział?

— Jakże mogłaś ukrywać to przed nami, Ginevro?

Uśmiechaliśmy się zmieszani, oszołomieni zdarzeniem, które się z taką łatwością i nieprawdopodobieństwem snu dokonało. Tak, nieprawdopodobnie, nie do uwierzenia, śmiesznie; przedewszystkiem śmiesznie. A jednak zdarzyło się to na tej ziemi między mną, Giovannim Episcopo, a Ginevrą Canale tak, jak panu mówię, najzupełniej tak, jak panu opowiadam.

Ach, mój panie, może się pan śmiać, jak pan chce. Nie zmartwi mię to wcale.

T r a g i c z n a k r o t o c h w i l a. Gdzież to ja się z tem wyrażeniem spotkałem? Doprawdy nie może być nic śmieszniejszego i zarazem bardziej wstrętnego, strasznego.

Złożyłem jej matce wizytę w jakimś starym domu na Via Montanara. Drapałem się po wąskich, wilgotnych schodach, śliskich, jak w studni, na które padało z góry niepewne, zielonawe światło. Było w tem coś grobowego, coś, czego się nigdy nie zapomina. Wszystko stoi mi dotąd wyraźnie przed oczyma.

Na każdym niemal schodzie przystawałem, bo było mi tak, jakbym tracił równowagę, jak-

bym stawiał nogę na chwiejącym się lodzie. Im wyżej wstępowałem, tem fantastyczniejszymi wydawały mi się schody w tem oświetleniu — pełne jakiejś tajemniczości i głębokiej ciszy, wśród której dochodziły mię z daleka jakieś niewyraźne pomruki. Naraz, na najwyższem piętrze rozwarły się drzwi gwałtownie i na schodach rozległ się piskliwy głos kobiecy — istny grad najordynarniejszych wymyślań. Wreszcie, zamknęły się znów drzwi z trzaskiem, który wstrząsnął całym domem od podstaw aż do samej góry.

Drżałem z przerażenia: nie ruszałem się z miejsca, nie wiedząc co mam począć. Jakiś człowiek schodził na dół powoli, całkiem powoli, tak, że możnaby myśleć, że osuwa się wzdłuż muru, jakby jakaś rzecz bezwładna. Mruczał i stękał pod białawym, o szerokich krysach kapeluszem.

Kiedy się natknął na mnie w przechodzie, podniósł w górę głowę. I zobaczyłem ciemne, ogromne okulary osadzone w siatce, ocieniające twarz tak czerwoną, jak kawałek surowego mięsa.

Człowiek ten wziął mnie widocznie za kogoś ze swoich znajomych, bo zawołał: „Pietro“

i chwycił mię za ramię, przyczem zaleciała mię od niego silna woń wina. Spostrzegł jednak swoją pomyłkę i poszedł dalej, na dół. Mechanicznie podążyłem i ja znów swoją drogą, i, nie wiedząc dlaczego, byłem zupełnie pewny, że spotkałem jakiegoś członka rodziny. Stanąłem przed drzwiami, na których wyczytałem: „Emilia Canale, agentka koncesyonowanego domu pożyczkowego".

Ażeby niemiłemu uczuciu wahania raz koniec położyć, przemogłem się i pociągnąłem za dzwonek. Bezwiednie jednak pociągnąłem tak silnie, że dzwonek zadźwięczał jak szalony. Podrażniony głos odpowiedział z wewnątrz, ten sam głos, który przedtem zasypywał kogoś gradem wymyślań. Drzwi się otworzyły, i przejęty dziwnym strachem, nic nie widząc, nie czekając, bez tchu, wypowiedziałem prędko, połykając słowa:

— Jestem Episcopo, Giovanni Episcopo, urzędnik... Przychodzę, pani wie... względem córki pani... Pani wie... Proszę mi wybaczyć, za silnie pociągnąłem...

Stałem przed matką Ginevry, ładną jeszcze i świeżą kobietą, przed agentką ze złotym łańcuchem na szyi, złotymi kolczykami w uszach

i złotymi pierścionkami na wszystkich palcach. I trzęsąc się ze strachu, robiłem oświadczyny — przypomina sobie pan — owe sławne przez Filipa Doberti zaproponowane oświadczyny!

Ach! mój panie, niech się pan śmieje, jeżeli pan ma ochotę. Nie zmartwi mnie to.

Czy mam panu wszystko opowiedzieć, wszystko aż do najdrobniejszego szczegółu, dzień po dniu? Godzina po godzinie? Chce pan poznać wszystkie drobne sceny, nic nie znaczące na pozór przejścia, całe moje tak głupie, tak dziwne, tak komiczne a tak nieszczęsne życie z tych czasów, wszystko, aż do owego wielkiego zdarzenia? Chce się pan śmiać? Chce pan płakać? Nic łatwiejszego, jak opowiedzieć panu wszystko. Czytam w mojej przeszłości jak w otwartej księdze. Wielka jasność ogarnia tych, których koniec się zbliża...

Ale jestem zmęczony, jestem słaby. I pan także musi być trochę znużony. Lepiej nie być rozwlekłym.

Opowiem krótko. Zezwolenie otrzymałem bez trudności. O mojem stanowisku, o mojem utrzymaniu, materyalnych stosunkach była już agentka widocznie poinformowaną. Miała głos dźwięczny,

ruchy stanowcze i zły, prawie dziki wzrok, który chwilami stawał się czułym, niemal namiętnym, przypominającym trochę Ginevrę. Kiedy stojąc rozmawiała ze mną, przystępowała do mnie zbyt blisko, i to mię trącała, to pociągała za guzik przy surducie, to otrzepywała jakiś pyłek z mojego ramienia, to zeskubywała jakąś nitkę albo włos z mojego ubrania. I przechodziłem tortury, wszystkie moje nerwy burzyły się za każdem dotknięciem tej kobiety, którą widziałem, jak rękę podnosiła na twarz swego męża.

Bo jej mężem był właśnie ten spotkany przezemnie na schodach człowiek w zielonych okularach, biedny idyota.

Był niegdyś drukarzem. Ale teraz choroba oczu nie pozwalała mu pracować. I stał się ciężarem żonie, synowi i synowej; wszyscy się z nim źle obchodzili, dręczyli, traktowali jak intruza. Rozpił się; nałogowy pijak, miał p r a g n i e n i e, straszne pragnienie. Nikt w domu nie dawał mu centesima na trunki. Ażeby więc parę groszy zarobić, uprawiał gdzieś, nie wiedzieć na jakiej ulicy, w jakim sklepie i dla jakich ludzi łatwy a nikczemny proceder za dzienną zapłatą. Jak się tylko sposobność nadarzyła, po-

rywał z domu wszystko, co mu w ręce wpadło, ażeby przepić, ażeby zaspokoić swoją niepohamowaną namiętność. Obawa przed wymyślaniem i biciem nie była w stanie powstrzymać go od tego. Przynajmniej raz na miesiąc wypędzała go żona z domu bez litości. Dwa, trzy dni nie było go potem widać, nie miał odwagi wrócić, do drzwi zapukać. Gdzie chodził? Gdzie sypiał? Jak żył?...

Od pierwszego dnia naszej znajomości, starał mi się przypodobać. Podczas gdy siedziałem skazany na wysłuchiwanie czczej gadaniny mojej przyszłej teściowej, on zwracał się do mnie nieustannie z uśmiechem, który sprawiał, że drgała mu dolna, obwisła warga. Kiedy wstałem, ażeby odejść, powiedział mi z cicha i jakby bojaźliwie:

— Ja także idę.

Wyszliśmy razem. Nie był pewny w nogach. Widząc na schodach, jak się ociąga i chwieje, zapytałem:

— Może się pan oprze na mnie?

Przyjął moją propozycyę i oparł się. Kiedyśmy wyszli na ulicę, nie wyciągnął ręki z pod mego ramienia, pomimo, że zrobiłem ruch, wskazujący wcale niedwuznacznie, że się chcę uwol-

nić. Z początku milczał. Ale zwracał się do mnie twarzą raz po raz tak blisko, że dotykał mię krysą swego kapelusza. Nie przestawał się uśmiechać i, chcąc przerwać milczenie, wydawał z gardła jakieś dziwne dźwięki.

Przypominam sobie dobrze: było to o zmroku bardzo pięknego wieczora. Na ulicy było dużo ludzi. Przed jedną kawiarnią grało dwóch muzykantów, na flecie i gitarze, melodyę z „Normy". Przypominam sobie: wóz z jakimś rannym, eskortowanym przez dwóch miejskich sierżantów, przejechał koło nas.

W końcu rzekł, ściskając mię za ramię:

— Cieszę się, wiesz? Prawdziwie się cieszę. Jakim ty dobrym musisz być synem! Podobasz mi się już teraz, wiesz?

Wypowiedział to prawie spazmatycznie, opanowany jedną jedyną myślą, jednem jedynem pragnieniem. Ale wstydził się dać mu wyraz. I zaczął się śmiać jak głupkowaty. Znowu milczenie. Potem jeszcze raz powtórzył:

— Cieszę się...

I znów zaczął się śmiać spazmatycznym śmiechem. Dostrzegłem, że przebywa nerwowy kryzys. Kiedyśmy przechodzili koło oszklonych

drzwi z czerwonemi firankami, przez które przebijało światło z wewnątrz, odezwał się nagle, natarczywym tonem:

— Możebyśmy wstąpili na szklaneczkę?

Przystanął i trzymał mię przed drzwiami w czerwonawym odblasku, padającym na ulicę. Czułem, że drży, a przy świetle mogłem także zobaczyć przez okulary jego biedne, zaognione oczy.

Odpowiedziałem:

— Dobrze. Wstąpmy.

Weszliśmy do knajpy. Nieliczni goście, którzy tam byli, siedzieli razem w jednej grupie i grali w karty. Usiedliśmy w kącie. Canale zawołał:

— Litr czerwonego.

Zdawało się, że dostał nagle chrypki. Nalał wino do szklanek drżącą ręką, jak paralityk. Jednem pociągnięciem wypróżnił szklankę i, obcierając usta, nalał sobie drugą. Postawił potem flaszkę na stole, uśmiechnął się i przyznał się otwarcie:

— Trzy dni już nie piłem.

— Trzy dni?

— Tak, trzy dni. Nie mam ani centesima.

W domu nikt mi nic dać nie chce. Rozumiesz? Rozumiesz? A z temi oczami nie mogę już pracować... Patrz mój synu.

Zdjął okulary. I zdawało się, że maskę zrzucił, tak zmieniony był wyraz jego twarzy. Powieki miał pokryte wrzodami, spuchnięte, bez rzęs, pełne ropy, straszne. A w pośrodku tego zaognionego nabrzmienia otwierało się z trudnością dwoje załzawionych oczu, nieskończenie smutnych, tym głębokim i niepojętym smutkiem, jaki tak często spotykamy we wzroku chorych zwierząt. Odraza połączona ze współczuciem opanowała mię na ten widok. Zapytałem:

— Bolą pana? Cierpi pan bardzo?

— Oh, mój synu, nie możesz sobie wyobrazić! Gdyby mię szpilkami, drzazgami, ostrymi kawałkami szkła, cierniami kłóć chciano... to byłoby niczem w porównaniu z tem, co cierpię, mój synu.

Może przesadzał swoje cierpienie, spotykając się ze współczuciem, ze współczuciem ludzkiej istoty po tak długim czasie! Kto wie jak dawno już nie słyszał dobrego słowa. Może przesadzał, żeby spotęgować moje współczucie, żeby choć raz słowo pociechy usłyszeć z ust ludzkich.

— Tak bardzo pan cierpi?

— Strasznie!

Chustką, która ani kształtu, ani koloru już żadnego nie miała, obtarł zwolna i ostrożnie powieki. Potem włożył znów ostrożnie okulary i wypróżnił drugą szklankę jednem pociągnięciem. Poruszał flaszką i rzekł:

— Mój synu, to jedyne na świecie!

Przypatrzyłem mu się. Nic, ale to nic w nim nie przypominało Ginevry: żaden rys, żaden wyraz, żaden ruch, nic. Pomyślałem: on nie jest jej ojcem.

Wypił znów szklankę i kazał podać jeszcze jeden litr, poczem powtórzył głosem tak brzmiącym, jakby śpiewał fistułą:

— Cieszę się, że się żenisz z Ginevrą. I ty, i ty także możesz się cieszyć... Porządna rodzina — Canale! Gdybyśmy nie byli uczciwi... moglibyśmy... dzisiaj...

I kiedy podniósł szklankę, zaigrał na jego ustach dwuznaczny uśmiech, który mię zaniepokoił.

Potem zaczął znów:

— A Ginevra... z Ginevrą mogliśmy wielki los wygrać, gdybyśmy byli chcieli. Rozumiesz?

Tobie przecie można to powiedzieć. Nie jedna, nie dwie, nie dziesięć, ale dwadzieścia propozycyj... I co za propozycye, mój chłopcze!

Czułem, że zielenieję.

— Książę Altini naprzykład... Od wieków mi nie daje spokoju. Przed paru miesiącami, zanim Ginevra do Tivoli przyjechała, kazał mi nawet raz przyjść do siebie, do pałacu. Rozumiesz? Trzy tysiące lirów byłby natychmiast gotówką wypłacił... chciał jej zaraz jakiś interes urządzić itd. itd... Ale nie, nie. Emilia zawsze mówiła: „Nie potrzebujemy tego, nie, to nie uchodzi. Starszą wydaliśmy za mąż, wydamy także młodszą. Urzędnik z ładną przyszłością, ze stałęm utrzymaniem... to się już znajdzie"... No, i widzisz? Widzisz? Jesteś. Episcopo się nazywasz, prawda? Co za nazwisko! Pani Episcopo więc, pani Episcopo...

Rozgadał się. Zaczął się śmiać.

— Gdzież ty ją poznałeś? Tam, w pensyonacie, prawda? Opowiadaj, opowiadaj. Słucham.

W tej chwili wszedł jakiś człowiek o niemiłym, podejrzanym wyglądzie, coś pośredniego między kamerdynerem a fryzyerem, o bladej,

czerwonawymi pryszczami pokrytej twarzy. Pozdrowił Canalego:

— Dzień dobry, Baptysta!

Baptysta przywołał go do siebie i podał mu szklankę wina.

— Pij pan za nasze zdrowie, Teodoro. Przedstawiam panu mojego przyszłego zięcia, narzeczonego Ginevry.

Z siwych oczu nieznajomego padło na mnie zdziwione spojrzenie, przyczem wstrząsnął mną dreszcz, jakby mi coś lepkiego i zimnego przeszło po skórze. Mruknął:

— To pan jest...

— Tak, tak — powtórzył gaduła i przerwał mu — pan Episcopo.

— Ah, pan Episcopo! Bardzo mi przyjemnie... Gratuluję...

Nie otworzyłem ust. Ale Baptysta się śmiał, z brodą na piersiach, i przybrał przebiegłą minę. Teodoro się pożegnał.

— Adieu, Baptysta. Do miłego widzenia, panie Episcopo.

I podaliśmy sobie ręce.

Jak tylko wyszedł, rzekł do mnie z cicha Baptysta:

— Wiesz ty kto to jest? Teodoro, zausznik markiza Aguti, starego, właściciela tego pałacu, tu obok. Od roku siedzi mi na karku z powodu Ginevry. Wiesz? Ten stary chce, chce ją mieć. Płacze, wrzeszczy, tupie nogami, jak dziecko, bo chce ją posiąść. Markiz Aguti, ten sam, co go to jego kobiety przywiązały do łóżka i wybatożyły aż do krwi... Aż do nas słychać było ryk... Później wdała się w to policya... Ha, ha, ha! Biedny Teodoro! Jego mina? Widziałeś jaką zrobił minę? Nie spodziewał się tego.

Śmiał się ciągle swoim głupkowatym śmiechem, podczas gdy ja ginąłem z niepokoju. Nagle pomiarkował się i zaklął. Z pod okularów spływały mu po policzkach dwa brudne potoki łez.

— Oh! te oczy! Co za ból, gdy piję!

I znów podniósł w górę te straszne zielone okulary; i znów zobaczyłem tę zeszpeconą twarz, jakby obdartą ze skóry, czerwoną, jak tył niektórych małp w menażeryach. I znów zobaczyłem te smutne oczy w pośrodku dwóch ran. I znów zobaczyłem jak przyciskał tę brudną chustkę do powiek.

— Muszę iść — rzekłem, — ostatni czas na mnie.

— Dobrze. Pójdziemy razem. Poczekaj chwilę.

I zaczął przetrząsać swoje kieszenie, jakby szukał pieniędzy — zabawny widok. Zapłaciłem. Wstaliśmy i wyszliśmy. Wsunął znów rękę pod moje ramię. I zdawało się, jakby mię już nie chciał tego wieczoru opuścić. Co chwilę śmiał się swoim głupkowatym śmiechem. Czułem, że przychodzi znów na niego ta chwila przesilenia, ten niepokój, ten nacisk wewnętrzny u człowieka, który chciałby coś powiedzieć, a nie śmie, wstydzi się.

— Śliczny wieczór! — rzekł.

I powrócił znów do swego głupkowatego śmiechu.

I z nagłym wysiłkiem, jak człowiek, który się jąka, wyrzucił ze spuszczonej, zupełnie schowanej pod krysami kapelusza głowy:

— Pożycz mi pięć lirów. Oddam ci.

Stanęliśmy. Dałem mu pięć lirów do drżącej ręki. I odwrócił się zaraz, zemknął, zgubił się w ciemności.

Ach, mój panie! Co za nędza! Człowiek, który popadł w nałóg, który się szarpie w szpo-

nach nałogu, który czuje, jak on go pożera, który widzi, że ginie i nie chce, nie może się ratować... Co za nędza, mój panie, co za nędza! Czy zna pan coś bardziej niepojętego, zagadkowego, ciemnego? Powiedz pan, powiedz pan: Czy jest coś smutniejszego na świecie od tej zgrozy, jaka nas wobec naszej rozpaczliwej namiętności przejmuje? Czy jest coś smutniejszego na świecie od tych trzęsących się rąk, tych uginających się kolan, tych drgających warg, od tej całej, przez nieodpartą potrzebę jednego jedynego uczucia dręczonej istoty? Powiedz mi pan, powiedz mi, co jest smutniejszego na świecie? Co jest smutniejszego?

Otóż, mój panie, od owego wieczora czułem się z tym najbardziej pożałowania godnym człowiekiem związanym. Stałem się jego przyjacielem. Dlaczego? Przez tajemnic pełne powinowactwo charakterów? Przez instynktowne przeczucie? A może to była siła przyciągająca jego nałogu, który i mnie zaczynał opanowywać zwolna? Czy było to wreszcie jego nieszczęście, tak samo beznadziejne i nie do uniknienia, jak moje?

Od owego wieczora począwszy, widywałem go prawie codziennie. Wszędzie mnie szukał

i wszędzie znajdował. Czekał na mnie przed drzwiami mego urzędu; czekał w nocy na schodach mego domu. Nigdy mnie o nic nie prosił, wzrokiem nawet nie mógł mówić, bo oczy miał zakryte. Wystarczyło mi jednak spojrzeć na niego, ażeby go zrozumieć. Śmiał się swoim zwykłym śmiechem, swoim bezmyślnym i nerwowym śmiechem. I czekał, nic nie żądając. Nie miałem siły opierać mu się, odpychać, upokarzać, surową twarz pokazywać, przykre wypowiadać słowa. Czyżbym się poddał nowej tyranii? Czyżby on miał być następcą Giulia Wanzera? Jego towarzystwo narażało mię często na przykrości, cierpiałem przez niego, a jednak nie robiłem nic, żeby się od niego uwolnić. Niekiedy chwytał mię za serce śmiesznie żałośną tkliwością. Pewnego dnia zapytał mię, wykrzywiając usta, jak dzieci, kiedy im się na płacz zbiera:

— Dlaczego mnie nie nazywasz ojcem?

Wiedziałem, że nie był ojcem Ginevry. Wiedziałem, że dzieci jego żony nie były jego dziećmi. On sam to z pewnością wiedział bardzo dobrze. Pomimo to nazywałem go ojcem, kiedyśmy byli sami, kiedy nas nikt nie słyszał, kiedy to miało być dla niego pociechą. Pokazywał często mi,

ażeby mię wzruszyć, sine plamy, pochodzące z obicia, w taki sam sposób, w jaki żebracy pokazują swoje kalectwo, albo rany, chcąc wyłudzić jałmużnę.

Przypadek mi odkrył, że o pewnej porze stawał wieczorami na najciemniejszych miejscach ulicy i żebrał cichym głosem. Jednego wieczora zbliżył się do mnie na rogu Forum Trojana jakiś człowiek, jęcząc:

— Nie mogę nic zarobić. Jestem prawie ciemny. Mam pięcioro dzieci... od czterdziestu ośmiu godzin nie miały nic w ustach. Proszę o mały datek, żebym mógł tym biednym stworzeniom kawałek chleba kupić...

Poznałem go zaraz po głosie. On jednak, będąc rzeczywiście prawie ślepym, niepoznał mnie. I przyspieszyłem kroku, uciekłem z obawy żeby mię nie poznał.

Nie cofnął się przed żadną nikczemnością, jeżeli chciał zaspokoić to dręczące go pragnienie. Raz był u mnie w pokoju. Wróciłem właśnie z biura i zabierałem się do mycia. Surdut i kamizelkę, w której zostawiłem mały srebrny zegarek, pamiątkę po nieboszczyku ojcu, położyłem na łóżku. Myłem się za parawanem i sły-

szałem jak Baptysta w dziwny sposób, jakby go coś niepokoiło, kręcił się po pokoju. Zapytałem:

— Co pan robi?

Odpowiedział mi skwapliwie, drwiącym trochę głosem:

— Nic. Dlaczego?

I czemprędzej przyszedł do mnie za parawan.

Odziałem się. Wyszliśmy. Na dole, na schodach sięgnąłem po zegarek w kieszonce kamizelki, ażeby się popatrzeć która godzina. Nie znalazłem go.

— Do dyabła! Zostawiłem zegarek w pokoju. Muszę wrócić. Zaczekaj pan na mnie. Wrócę za chwilę.

Poszedłem na górę. Zapaliłem świecę; przeszukałem wszędzie i zegarka nie znalazłem. Po paru minutach daremnego poszukiwania usłyszałem głos Baptysty:

— No cóż, znalazłeś?

Wyszedł za mną na górę i stanął w drzwiach. Chwiał się trochę.

— Nie. To dziwne. A byłem najpewniejszy, że go zostawiłem w kamizelce. Nie widział go pan?

— Nie.

— Doprawdy nie?

— Nie.

Zbudziło się we mnie podejrzenie. Baptysta stał ciągle na progu z rękami w kieszeniach. Rozpocząłem na nowo poszukiwania, zniecierpliwiony, prawie zły.

— Niepodobna, żebym go zgubił. Zanim się rozebrałem, miałem go jeszcze. Wiem, że go miałem. Musi tu gdzieś być. Musi się znaleźć.

Baptysta wszedł do pokoju. Obróciłem się nagle i wyczytałem zbrodnię na jego twarzy. Serce mi zamarło. Zmieszany jąkał:

— Musi tu być. Musi się znaleźć.

I wziął świecę, nachylił się, ażeby poszukać koło łóżka. Zataczając się, ukląkł, podniósł kapę, zajrzał pod łóżko. Męczył się, oddychał z trudnością. A świeca kapała na jego drżącą rękę.

Komedya ta drażniła mię.

— Dosyć! — powiedziałem ostro. — Daj pan spokój. Nie trudź się pan. Wiem już, gdzie właściwie należałoby szukać...

Postawił świecę na podłodze. Chwilę jeszcze nie podnosił się, klęczał skurczony, drżący, jak

ktoś, co ma zamiar przyznać się do zbrodni. Ale się nie przyznał do niczego. Wstał z trudnością, nie wypowiedziawszy słowa. I po raz drugi zobaczyłem grzech, wypisany na jego twarzy. Uczułem w sobie gniew niepohamowany. „Bezwątpienia — myślałem — ma zegarek w kieszeni. Zmuszę go do przyznania się do winy, do oddania skradzionego dobra, do skruchy. Muszę go zobaczyć roniącego łzy skruchy“. Ale nie miałem siły.

— Chodźmy — powiedziałem.

Wyszliśmy. Powoli postępował za mną zbrodniarz po schodach, trzymając się poręczy. Jakże biedny! Jak smutny!

Kiedyśmy się znaleźli na ulicy, zapytał mię z cicha, zaledwo dosłyszalnie:

— Więc ty myślisz, że to ja wziąłem?

— Nie, nie — odpowiedziałem. — Nie mówmy już o tem.

Po chwili dodałem:

— Przykro mi, bo to była pamiątka po ojcu.

Zauważyłem, że zrobił ruch, jakby miał zamiar wyciągnąć coś z kieszeni. Ale się rozmyślił. Szliśmy dalej.

Trochę później odezwał się prawie zuchwale:

— Może mnie chcesz zrewidować?

— Nie, nie. Nie mówmy już o tem. Muszę pana teraz pożegnać. Mam dziś wieczór robotę.

I porzuciłem go, nie spojrzawszy na niego. Co za nędza!

Nie widziałem go parę dni. Piątego dnia zjawił się u mnie wieczorem.

— Ach, to pan? — rzekłem, poważną robiąc minę.

I nie zważając na niego, wróciłem do mojej pisaniny. Po dłuższej pauzie odważył się zapytać mię:

— Znalazłeś?

Roześmiałem się i pisałem dalej.

Po drugiej, jeszcze dłuższej pauzie, odezwał się znów:

— Ja go nie wziąłem.

— Tak, tak. Dobrze. Wiem. Czy nie może pan już o niczem innem myśleć?

Widząc, że się nie ruszam od stołu, rzekł po trzeciej pauzie:

— Dobranoc!

— Dobranoc! Dobranoc!

Pozwoliłem mu odejść, nie zatrzymując go

wcale. Potem zrobiło mi się przykro. Chciałem go zawrócić, ale było już zapóźno. Poszedł.

Parę dni znów był niewidzialny. Pewnego wieczora jednak, kiedy około północy wróciłem do domu, zastałem go pod latarnią, pod mojem mieszkaniem. Padał drobny deszczyk.

— To pan? O takiej porze?

Ledwo się trzymał na nogach. Myślałem, że jest pijany. Kiedy mu się jednak lepiej przypatrzyłem, przekonałem się, że się znajduje w pożałowania godnym stanie: cały zabłocony, jakby się tarzał w kałuży, obdarty, wychudnięty, z posiniałą twarzą.

— Cóż się panu stało? Mów pan.

Wybuchnął płaczem i zbliżył się do mnie tak, jakby chciał paść w moje ramiona. I łkał mi nad uchem i próbował wśród łkania, które go dławiło, wśród łez, które mu do ust spływały, opowiedzieć mi wszystko.

Ach, mój panie, pod tą latarnią gazową, w ten deszcz, co za straszna rzecz! Jakież okropne to łkanie człowieka, który trzy dni nic nie jadł!

Wie pan co to głód? Czy widział pan kiedy człowieka, na pół nieżywego z głodu, który zasiada do stołu i kawałek chleba, kawałek mięsa

prowadzi do ust i żuje pierwszy kęs swoimi osłabionymi, chwiejącymi się w szczęce zębami?

Prawda, nie miałem panu tak dużo opowiadać o tym biedaczysku. Uniosłem się. O wszystkiem innem zapomniałem, nie wiem sam dlaczego. Ale doprawdy, ten nędzarz był jedynym moim przyjacielem, a ja byłem jego jedynym przyjacielem w naszem życiu. Ja jego widziałem płaczącego a on moje łzy widział nieraz. W jego wadach widziałem odbicie moich wad. Dzieliliśmy też nasze bole, znosiliśmy tę samą hańbę, ten sam wstyd.

Nie był ojcem Ginevry, nie. W żyłach tej istoty, która mię o tyle cierpień przyprawiła, nie płynęła jego krew.

Jakże często z pełną niepokoju i nienasyconą ciekawością myślałem o prawdziwym ojcu, o tym nieznanym, niewiadomym! Kto nim mógł być? Bezwątpienia nikt z ludu. Pewne rysy, pewne oznaki wrodzonej dystynkcyi, pewne okrucieństwo, pewne zanadto skomplikowane wady, a także pociąg do zbytku, jakiś szczególny sposób dręczenia z uśmiechem na ustach, szarpanie

komuś serca, wszystko to i wiele innych jeszcze rzeczy wskazywało na kilka kropel krwi arystokratycznej. Któż więc mógł być jej ojcem? Może jaki rozwiązły starzec, jak ten markiz Aguti? A może jaki ksiądz, jeden z tych pełnych galanteryi kardynałów, co to wnoszą błogosławieństwo Boże do wszystkich domów w Rzymie?

Jakże często o tem myślałem! A niekiedy widziałem w mojej wyobraźni jakąś męską postać nieokreśloną, zmienną, a jednak wyraźną, ze szczególną twarzą, ze szczególnym wyrazem, która zdawała się zabójczo wyczerpującem żyć życiem.

Niewątpliwie musiała Ginevra wiedzieć a przynajmniej czuć, że nie łączyło jej najmniejsze pokrewieństwo krwi z mężem jej matki. I w istocie nie dostrzegłem nigdy w jej oczach, gdy były zwrócone na tego nieszczęśliwego, ani śladu życzliwości a choćby tylko współczucia. Przeciwnie, obojętność a często niechęć, pogarda, odraza a nawet nienawiść mówiły z jej oczu, gdy się zwracały na tego nędzarza.

Oh te oczy! One mówiły wszystko; za dużo mówiły w jednej chwili, za dużo różnych rzeczy. Wprawiały mię w pomieszanie. Spotykały

przypadkiem mój wzrok i zdawało się, że są ze stali, z błyszczącej, twardej stali. A potem nagle pokrywały się, jakby bladą powłoką, miękły. Niech sobie pan wyobrazi klingę, przyćmioną oddechem...

Ale nie, nie mogę panu mówić o mojej miłości; nie mogę, nie mogę mówić o mojej miłości. Nikt się nigdy nie dowie, jak ja ją kochałem, nikt. Ona sama nigdy nie wiedziała, nie wie. Ale ja wiem, że ona mię nigdy nie kochała! Ani jednego dnia, ani jednej godziny, ani jednej minuty!

Wiedziałem to od początku, wiedziałem nawet wówczas, kiedy patrzyła na mnie swojemi zamglonemi oczami. Nie łudziłem się nigdy. Moje usta nie ważyły się nigdy wymówić pytania, wypowiadanego przez wszystkich zakochanych: „Kochasz mnie?“ I przypominam sobie, że, jeżeli kiedy przy niej opanowało mię namiętne pragnienie, to nieraz myślałem: „Gdybym tak mógł jej twarz całować bez jej świadomości o moich pocałunkach“.

Nie, nie mogę panu mówić o mojej miłości. Będę panu opowiadał fakty, drobne zdarzenia, małe nędze, małe sromoty.

Termin ślubu był oznaczony. Ginevra pozostała jeszcze przez parę tygodni w Tivoli. Dojeżdżałem tam często tramwajem, przepędzałem z nią pół dnia, dwie godziny, godzinę. Kontent byłem, że jej niema w Rzymie. Stałą moją troską było, żeby ktoś z moich biurowych kolegów nie odkrył mojej tajemnicy. Uciekałem się do niezliczonych podstępów, wykrętów, kłamstw, ażeby się nie zdradzić co robiłem, co robię, co zamierzam robić. Unikałem więcej uczęszczanych lokali. Uciekałem do pierwszego lepszego sklepu, do sieni jakiegoś domu, w boczną ulicę, jeżeli z daleka zobaczyłem którego z moich dawnych współtowarzyszów stołu.

Pewnego dnia jednak nie udało mi się uniknąć spotkania z Filipem Doberti. Dopędził mnie, zatrzymał albo raczej przyczepił się do mnie natarczywie.

— Hola, Episcopo! Od niepamiętnych czasów nigdzie cię nie widać! Cóż się z tobą działo? Czy chory byłeś?

Nie mogłem zapanować nad mojem pomieszaniem. Odpowiedziałem bez zastanowienia:

— Tak, byłem chory.

— Widać to; pozieleniałeś. Ale cóż ty teraz

porabiasz? Gdzież jadasz? Gdzie spędzasz wieczory?

Odpowiedziałem nowem kłamstwem, nie patrząc na niego.

— Rozmawialiśmy niedawno o tobie — mówił dalej. — Zdaje mi się, że to Efrati nam opowiadał, że cię widział na via Alessandrina pod bramą z jakimś pijanym człowiekiem.

— Z pijanym? — odpowiedziałem — śniło się chyba Efrati'emu.

Doberti parsknął śmiechem.

— Hahaha! Poczerwieniałeś? Ładne sobie zawsze dobierasz towarzystwo... Przychodzi mi przytem na myśl, czy nie masz jakiej wiadomości o Wanzerze?

— Nie, nic nie wiem.

— Jakto? Nie wiesz, że jest w Buenos-Ayres?

— Nic nie wiem.

— Ah, biedny Episcopo! Bądź zdrów, muszę cię pożegnać. Szanuj się, szanuj, słyszysz? Zmizerniałeś, bardzo zmizerniałeś. Bądź zdrów.

Skręcił w inną ulicę i pozostawił mię w niepokoju, którego nie byłem w stanie stłumić. Wszystkie słowa owego dawno minionego wieczoru, kiedy to mówił o ustach Ginevry, wszyst-

kie wróciły przed moją duszę, jasno, wyraźnie. Przypomniały mi się i inne jeszcze słowa, ordynarne, brutalne. I widziałem znów w tym gazem oświetlonym pokoju ten długi stół, dookoła którego siedzieli wszyscy ci o twarzach czerwonych z wina, pijani trochę ludzie, złączeni jedną wspólną myślą o gorszącym żarcie. I słyszałem znów te śmiechy, wrzaski, moje nazwisko wywoływane przez Wanzera, radosny poklask innych... A potem to niegodziwe: „Firma Episcopo i sp." I przyszło mi na myśl, że ta okropność może się zamienić w rzeczywistość... W rzeczywistość! W rzeczywistość! — Ale czy możebny jest taki upadek? Czy to możliwe, żeby człowiek, który, według wszelkiego prawdopodobieństwa przynajmniej, nie jest obłąkanym, niedołężnym, słabym na umyśle, dał się do takiej hańby przywieść?

Ginevra wróciła do Rzymu. Zbliżał się dzień ślubu.

Jeździliśmy z agentką dorożką po mieście, ażeby wyszukać małe mieszkanie, ażeby kupić łóżko małżeńskie i inne potrzebne do urządzenia domu rzeczy, słowem, ażeby poczynić wszelkie niezbędne przygotowania. Pod-

niosłem z depozytu cały mój majątek, wynoszący piętnaście tysięcy lirów.

W dorożce tedy odbywaliśmy nasz objazd tryumfalny po ulicach Rzymu — ja, kurcząc się na ławeczce z przodu, ażeby nie być widzianym, obydwie panie naprzeciwko mnie, kolano o kolano ze mną. Kogośmy nie spotkali? Kto nas nie poznał? Jakkolwiek siedziałem ze spuszczoną głową, mogłem dość często przekonać się ukradkiem, jak ktoś przystawał na ulicy i na nas wskazywał. Ginevrę to bawiło, wychylała się, obracała i mówiła za każdym razem:

— Patrz, Questori! Micheli! Palurubo z Dobertim!

Ta dorożka była dla mnie pręgierzem.

I wiadomość się szerzyła. I była dla moich kolegów biurowych, dla moich dawnych towarzyszów stołu, dla wszystkich znajomych źródłem niewyczerpanej uciechy. Czytałem we wszystkich spojrzeniach ironię, drwiny, złośliwą wesołość. Nikt mi nie szczędził obrazy. A ja, aby przecież coś robić, uśmiechałem się przy każdej nowej obrazie, zawsze jednako wykrzywiając usta, jak niewinny automat. Cóż zresztą miałem robić? Złościć się? wściekłość moją oka-

zywać? rzucać się gwałtownie? Miałem może policzkować? Kałamarzem rzucać? Krzesłem wymachiwać? Bić się? Czy to wszystko nie byłoby także śmiesznem, mój panie?

Pewnego dnia w urzędzie, dwaj „dowcipni“ młodzieńcy udawali śledztwo. Przesłuchiwanie odbywało się między sędzią a Giovanni'm Episcopo. Na pytanie sędziego: „Pański zawód?“ odpowiedział Giovanni Episcopo: „Człowiek, któremu odmawiają należnego szacunku“.

Innego znów dnia usłyszałem przypadkiem także słowa:

„On nie ma krwi w żyłach; ani kropli krwi. Tę odrobinę, jaką miał, wytoczył mu Giulo Wanzer z czoła. Doprawdy, to widoczne, że mu nie została ani kropla...“

To była prawda, prawda.

Jak to się stało, że powziąłem nagle postanowienie porzucić Ginevrę, cofnąć moje słowo?

Tak, napisałem do Ginevry, ażeby zerwać nasze zaręczyny, napisałem do niej moją własną ręką! I sam zaniosłem list na pocztę.

Było to wieczorem, pamiętam bardzo dobrze.

Przeszedłem kilka razy koło poczty, tam i nazad, wzruszony, jak człowiek, który ma zamiar popełnić samobójstwo. Stanąłem w końcu i wsadziłem list w otwór skrzynki. Zdawało mi się, że palce moje nie mogą się od niego oderwać. Jak długo tak stałem? Nie wiem. Policyant trącił mnie w ramię i zapytał:

— Co pan tu robi?

Puściłem palce i list wpadł do skrzynki. I o mało nie usunąłem się, omdlały, policyantowi w ramiona.

— Powiedz mi pan — wyjąkałem ze łzami w oczach — co trzeba zrobić, żeby go stamtąd nazad wydobyć?

A ta noc! Ten niepokój w nocy! A nazajutrz rano ten widok nowego mieszkania, małżeńskiego gniazda, które już było gotowe na przyjęcie nowożeńców i nagle stało się zbytecznem! O to słońce, te promienie słoneczne, padające na te wszystkie nowe, błyszczące, nietknięte przedmioty, wydające z siebie woń sklepową, woń nie do zniesienia!...

Popołudniu, około piątej, kiedy wróciłem z biura, oczekiwał mię Baptysta na ulicy. Powiedział mi:

— Chodź do nas, ale zaraz. Mają do ciebie jakiś interes.

Poszliśmy. Drżałem, jak złapany na gorącym uczynku zbrodniarz. Ażeby się przygotować, rzuciłem Baptyście pytanie:

— Cóż one mogą chcieć odemnie?

Baptysta o niczem nie wiedział. Wzruszył ramionami. Kiedyśmy pod drzwiami domu stanęli, pożegnał się ze mną. Wychodziłem po schodach na górę przybity, skruszony, daleki od stawiania oporu. Myślałem o rękach agentki, o tych okrutnych rękach, i opanowała mię straszna trwoga. A kiedy rzuciłem okiem na sień w górze i zobaczyłem drzwi otwarte, a na ich progu agentkę, gotową rzucić się na mnie, powiedziałem skwapliwie:

— To tylko żart był, nic więcej, tylko żart.

W tydzień później odbyło się wesele. Świadkami moimi byli: Enrico Efrati i Filippo Doberti. Ginevra i jej matka życzyły sobie, żebym na uroczystość weselną zaprosił jak najwięcej kolegów. Chciały zaimponować tym sposobem ludziom z Via Montanara i sąsiednich ulic. Zdaje mi się, że nie brakowało żadnego z moich dawnych towarzyszów stołu z pensyonatu.

Bezładne, niejasne, bez związku zachowałem wspomnienie uroczystości weselnej, mnóstwa ludzi, wszystkich tych głosów i wrzawy. W pewnej chwili zdawało mi się, że ponad stołem biesiadnym unosi się coś z dusznej, nieczystej atmosfery, która niegdyś nad i n n y m unosiła się stołem. Ginevra poczerwieniała, a jej oczy iskrzyły się dziwnie. I wiele innych oczu iskrzyło się także i śmiech rozlegał się dokoła.

Przypominam sobie... Ciężki jakiś, przygniatający smutek zakłócał moją świadomość. I widzę jeszcze tam, na drugim końcu stołu, na samym końcu, w nieprawdopodobnej odległości, biednego Baptystę, który pije, pije, pije...

Tydzień przynajmniej! Nie mówię rok, miesiąc! Ale tydzień, pierwszy tydzień przynajmniej! — Nie, nie. Bez litości. Jednego, jedynego dnia nie czekała; zaraz, w samą noc poślubną, rozpoczęła swój zawód kata.

I gdybym sto lat żył, to nie mógłbym zapomnieć tego nagle wybuchającego śmiechu, który mi w ciemnym pokoju krew ścinał w żyłach i upokarzał moją nieśmiałość i niezręczność.

Nie widziałem w ciemności jej twarzy. Ale po raz pierwszy odczułem całą jej nikczemność w tym drwiącym, szyderczym, szatańskim, niesłyszanym i nieznanym śmiechu. Czułem, że tuż koło mnie oddycha jakieś złośliwe stworzenie.

Ach, mój panie, ona miała śmiech w zębach, jak węże truciznę.

Nic, nic nie było w stanie jej wzruszyć. Ani moje nieme poddanie, ani mój ból, ani łzy moje. Próbowałem wszystkiego, ażeby wzruszyć jej serce: napróżno. Czasem słuchała mnie z powagą w oczach, jakby mię chciała rozumieć. A potem, nagle, zaczynała się śmiać, tym strasznym śmiechem, tym nieludzkim śmiechem, przyczem jej zęby więcej się iskrzyły aniżeli oczy. I byłem zmiażdżony.

Nie, nie, nie mogę. Niech mi pan pozwoli zamilknąć, niech mi pan pozwoli pominąć to. Nie mogę panu o niej mówić. To tak, jakby mię pan chciał zmusić coś gorzkiego przeżuwać, coś z zabójczej, z nie do zniesienia goryczy. Czy pan nie widzi, jak mi się usta wykrzywiają, gdy mówię?

Pewnego wieczora, mniej więcej we dwa miesiące po naszym ślubie, dostała w mojej obecności

zawrotu głowy, pewnego rodzaju mdłości... Wie pan, zwykłe oznaki... I ja, co ze skrytą nadzieją oczekiwałem tego objawu, tych oznak, tego spełnienia najgorętszych pragnień, tej bezgranicznej radości wśród smutków moich, padłem przed nią na kolana, jak przed cudem jakim... „Czy to było możliwe? Czy to było możliwe?“ Tak, powiedziała mi to, potwierdziła. W łonie swojem nosiła drugie życie.

Nie może pan tego pojąć. Gdyby pan nawet był ojcem, nie mógłby pan zrozumieć tego wielkiego wzruszenia, jakie wstrząsnęło całą moją duszą. Niech pan sobie wyobrazi człowieka, mój panie, człowieka, który zniósł wszystko, co tylko można znieść na świecie, na którym okrutni ludzie całą swoją złość wywierali, nie dając mu chwili wytchnienia, człowieka, który od nikogo nie doznał miłości, podczas gdy sam marnował nagromadzone w głębi duszy swojej niewyczerpane skarby uczuć. Proszę sobie wyobrazić radosną nadzieję tego człowieka, mój panie, który oczekuje istoty z krwi swojej, dziecka, małego, rozkosznego, słodkiego stworzenia, oh tak nieskończenie słodkiego, któreby go kochało... któ-

reby go kochało... rozumie pan?... któreby go kochało!

Było to we wrześniu, pamiętam. Był jeden z tych cichych, posępnych trochę dni... Wie pan... kiedy lato jest na schyłku. Ciągle, ciągle marzyłem o nim, o Cirze; niewypowiedziane marzenia...

Pewnej niedzieli spotkaliśmy na Pincio Doberti'ego i Questori'ego. Obaj objawili entuzyastyczną radość na widok Ginevry. Towarzyszyli nam w przechadzce. Ginevra i Doberti szli naprzód, ja i Questori za nimi. Każdy krok jednak, który postępująca przed nami Ginevra stawiała, dolegał mi jak ciężar na sercu. Rozmawiali wesoło, śmiali się tak, że ludzie oglądali się za nimi. Przy dźwiękach muzyki, dochodziły mię tylko niewyraźnie ich słowa, chociaż wytężałem słuch, żeby coś niecoś podchwycić. Moja męka była tak widoczną, że Questori zawołał na nich i rzekł:

— Nie tak prędko, nie tak prędko! Nie odchodźcie tak daleko, bo Episcopo pęknie z zazdrości.

Parsknęli śmiechem, drwili ze mnie. Doberti i Ginevra, nie troszcząc się o mnie, szli dalej

naprzód, prowadzili wesoło rozmowę przy hałasie muzyki, która ich może jeszcze więcej podniecała i upajała. A ja, ja czułem się tak biednym, że idąc wzdłuż mostu, miałem szaloną myśl rzucić się z niego, aby raz koniec tej męce położyć. Questori także teraz milczał i dostrzegłem z jaką uwagą śledził ponętne kształty Ginevry, jak pochłaniała go żądza. Różni mężczyźni spotykali nas, obracali się kilkakrotnie, ażeby na nią spojrzeć, a we wszystkich oczach płonęła ta sama pożądliwość. Zawsze i zawsze było to samo, gdy przechodziła wśród mężczyzn, jakby wśród tumanu zmysłowości. Zdawało mi się, że zmysłowość ta zanieczyszcza dokoła powietrze. Zdawało mi się, że wszyscy ci ludzie pożądali tej kobiety, uważając ją za łatwą do zdobycia. Coraz szerzej rozchodziły się fale dźwięków w rażącem świetle słonecznem, wszystka zieleń mieniła się na drzewach; koła powozów sprawiały w moich uszach huk ogłuszający. A wśród tego światła, tego zgiełku, tych tłumów, wśród tego zamieszania, patrząc na żonę, która się w mojej obecności dała temu człowiekowi na złą drogę sprowadzać, opanowany uczuciem, że ze wszystkich stron grozi mi pożądliwość, myślałem ze strasznym

bólem w sercu o młodej istocie, co żyć zaczynała, o małem bezkształtnem stworzeniu, co może w tej chwili, gdy żyć zaczynało, cierpiało z powodu grzesznych wzruszeń tego ciała...

Mój Boże, mój Boże, jakież katusze mi ta myśl sprawiała! Jakże często dręczyła mię ta obawa przed jego urodzeniem. Rozumie pan? Myśl o plamie... Rozumie pan? Niewiara małżeńska większą mi była troską ze względu na urodzić się mające dziecko, aniżeli na mnie. Zdawało mi się, że z tej hańby, z tej trucizny musiało coś spaść na nie, splamić je. Pojmuje pan moją trwogę?

I pewnego dnia zdobyłem się na niesłychaną odwagę. Pewnego dnia, kiedy podejrzenie dręczyło mnie najstraszniej, miałem odwagę rozmówić się z nią.

Ginevra stała przy oknie. Pamiętam, było to na Wszystkich Świętych. Dzwony dzwoniły. Na futrynę okna padało słońce. Doprawdy, słońce jest czemś najsmutniejszem na świecie. Nie sądzi pan? Słońce memu sercu zawsze ból sprawiało. We wszystkich moich najboleśniejszych wspomnieniach widzę jego złotawe pasmo, niby całun śmierci. Kiedy dzieckiem byłem, zosta-

wiono mię raz kilka minut samego w pokoju, w którym na łóżku pod wieńcami kwiatów spoczywały zwłoki mojej siostry. Jest mi w tej chwili, jak gdybym widział jeszcze przed sobą tę biedną, bladą twarz, na którą padały niebieskawe cienie, a do której później twarz Cira, w ostatnich chwilach, była tak dziwnie podobną...

Ach, gdzież to ja byłem? Moja siostra, tak, moja siostra leżała na łóżku pod kwiatami. Tak, to powiedziałem. Ale dlaczego ja to powiedziałem? Pozwól mi pan pomyśleć chwilę... Ach tak. Podszedłem do okna, przejęty strachem; było to małe okno, wychodzące na dziedziniec. Dom naprzeciwko był, zdaje się, niezamieszkany, nie dochodziły z niego żadne ludzkie głosy. Wszystko było pogrążone w ciszy. Na dachu tylko niezliczone mnóstwo wróbli wydawało ogłuszający świergot, bez przerwy. A pod dachem, pod rynną, na szarym murze, w szarym cieniu, biegło pasmo słońca — żółta, prosta, ostra linia, występująca dziwnie wyraziście. Nie miałem odwagi obrócić się, wytrzeszczyłem oczy na żółte pasmo, jak zaczarowany; a za sobą czułem — rozumie pan — czułem, podczas gdy w uszach brzmiał mi nieustannie świergot pta-

ków, czułem przejmującą mię dreszczem ciszę pokoju, tę lodową ciszę, co to się roztacza dokoła umarłych...

Ach, mój panie, ile to ja razy widziałem jeszcze w mojem życiu to pasmo słoneczne! Ile razy!

Przyczem mi to przyszło na myśl? Tak, mówiłem, że Ginevra stała przy oknie. Dzwony dzwoniły. Słońce świeciło. Na krześle leżał wieniec z nieśmiertelników z czarną szarfą, który Ginevra i jej matka miały zanieść na Campo Verano, na grób jakiegoś krewnego! — Co za pamięć! Pomyśl pan! — Tak, mój panie, straszną teraz mam pamięć.

Proszę słuchać. Jadła jakiś owoc z rażącą zmysłowością, zwykłą we wszystkich jej czynnościach. Nie zważała na mnie, nie spostrzegła, że jestem w pokoju, a tem mniej, że nie spuszczam z niej oczu. I nigdy nie czułem się bardziej jej obojętnością dotkniętym, jak tego dnia, nigdy nie widziałem tak jasno, że nie należy wyłącznie do mnie, że dla wszystkich była do rozporządzenia, że bez oporu odda się pierwszemu lepszemu, i że nigdy nie będę mógł ustrzedz mego

prawa do miłości, ani prawa silniejszego. A musiałem na nią patrzeć, ciągle patrzeć.

Czy nie zdarza się panu, że, jeżeli pan długo patrzy na kobietę, to zatraca się w panu wszelkie delikatniejsze dla niej uczucie, dla jej stanowiska społecznego, dla więzów serca, które ją z panem złączyły, i widzi pan z przygniatającą pana jasnością zwierzę przed sobą, samicę.

Ja to widziałem, kiedy na nią patrzyłem i zrozumiałem, że ona tylko do zmysłowego życia, do poziomych rzeczy jest zdolną. I inna, straszna prawda stanęła przed oczyma mej duszy: Podstawą ludzkiego bytu, podstawą wszystkich trosk ludzkich jest zmysłowość. Straszna to, smutna prawda.

Powiedz pan, co miałem robić? Nic. Ale ta kobieta nosiła w swojem łonie drugie życie, karmiła krwią swoją tajemnicze stworzenie, w którem się spełniały moje marzenia, moja największa nadzieja i modły moje...

Tak, tak, zanim jeszcze ujrzał światło dzienne, modliłem się do niego, płakałem z miłości ku niemu, przemawiałem do niego w mojem sercu nie dającemi się wypowiedzieć słowami. Proszę sobie wyobrazić te męczarnie, mój panie, proszę

sobie wyobrazić: — Nie módz oddzielić obrazu niewinności od obrazu hańby; widzieć, że przedmiot pańskich pragnień najwyższych związany jest z istotą, której nikczemności się pan boi. Jakiegoż uczucia doznawałby pobożny człowiek, widząc, że jakaś brudna szmata pokrywa sakrament na ołtarzu? Cóżby odczuwał, gdyby świętość mógł tylko przez tę osłonę całować. Cóżby odczuwał?

Nie umiem się wysławiać. Nasze słowa, nasze czyny są zawsze pospolite, głupie, bez znaczenia, żeby nie wiedzieć jak silne były uczucia, które są ich bodźcami. Tego dnia kotłowało się we mnie tysiące bolesnych myśli, które daremnie starałem się stłumić; a koniec pieśni — mały, cyniczny dyalog, śmieszna, politowania godna scena! Chce pan treści? Chce pan, ażebym panu przytoczył rozmowę? A więc...

Stała, jak mówiłem, przy oknie, i zbliżyłem się do niej. Chwilę milczałem. Potem zebrałem wszystkie moje siły, wziąłem ją za rękę i zapytałem:

— Ginevro, czy ty mię już zdradziłaś?

Spojrzała na mnie, zmieszana, i odpowiedziała:

— Czym cię zdradziła? Cóż ty chcesz przez to powiedzieć?

Pytałem dalej:

— Masz już kochanka? Może... Doberti?

Ciągle jeszcze patrzyła na mnie osłupiała, bo trząsłem się cały.

— Cóż ta scena ma znaczyć? Co ci się dziś stało? Oszalałeś może?

— Odpowiedz mi Ginevro!

— Oszalałeś?

I podczas gdy usiłowałem chwycić ją znów za ręce, krzyczała, wyrywając się:

— Daj mi spokój. Dosyć mam tego!

Ale jak opętany rzuciłem się na kolana i przytrzymałem ją silnie za koniec sukni:

— Proszę cię, błagam Ginevro! Miej litość, odrobinę litości! Wyczekaj przynajmniej do wydania na świat... tego biednego stworzenia... mojego biednego dziecka!... To moje dziecko, prawda? Poczekaj. Potem będziesz mogła robić co zechcesz; będę milczał. Zniosę wszystko. Kiedy przyjdą twoi kochankowie, będę uciekał. Jeżeli każesz, będę ich buty czyścił w sąsiednim pokoju... Będę sługą twoim, ich sługą. Wszystko

zniosę. Ale poczekaj, poczekaj! Daj mi wprzód syna! Zlituj się!...

Nic, nic. W jej oczach nie było nic, prócz wesołej prawie ciekawości. Odsuwając się odemnie, powtórzyła:

— Oszalałeś?

Wreszcie, kiedy nie przestawałem błagać, odwróciła się odemnie, wyszła, zamknęła drzwi za sobą na klucz i zostawiła mię tam, na podłodze, klęczącego, leżącego.

Słońce padało na podłogę, na krześle leżał wieniec z nieśmiertelników; a mój płacz nie zmienił nic w stanie rzeczy...

Ale cóż my możemy zmienić? Cóż znaczą łzy nasze? Każdy z nas jest pierwszym lepszym, któremu się wszystko może przytrafić. Ot, co jest, a po za tem niema nic. Amen!

Zmęczyliśmy się, mój panie kochany, ja opowiadaniem, a pan słuchaniem. Odbiegłem jednak trochę od przedmiotu. Może nawet zanadto odbiegłem. Bo pan wie przecie, że nie o to chodzi. To nie jest właściwy punkt. Dziesięć lat dzieli nas jeszcze od tego punktu: tysiąc lat trosk, nędzy i wstydu.

A przecież nie wyrzekłem się jeszcze całkiem nadziei. Owej nocy kiedy usłyszałem jęki porodowe, jęki, w których nic nie było ludzkiego, podobne do ryku na rzeź prowadzonego zwierzęcia, myślałem w skurczu całej mojej istoty: „Gdyby umarła! oh! gdyby umarła i zostawiła mi żywe to małe stworzenie!“ Krzyczała tak strasznie, tak nie po ludzku, że myślałem: „Kiedy się tak krzyczy, to niemożebnem jest, żeby się nie umarło“. Tak, miałem taką myśl, żywiłem taką nadzieję. Ale nie umarła. Nie umarła na nieszczęście mojego syna i moje.

Mój syn, rzeczywiście m ó j syn, dziecko mojej krwi. Miał na lewem ramieniu zupełnie takie samo znamię, z jakiem ja się urodziłem. I dziękowałem Bogu za ten znak, po którym mogłem mojego syna poznać.

Czy mam panu skreślić naszą dziesięcioletnią męczarnię? Czy mam panu wszystko powiedzieć? Nie, to niemożliwe. Nie skończyłbym nigdy. A zresztą możeby mi pan nawet nie uwierzył. Bo to, cośmy przeszli, nie jest do uwierzenia.

Oto fakty w kilku słowach. Mój dom stał się domem publicznym. Spotykałem u siebie zupełnie obcych ludzi. Nie przyszło do tego,

żebym robił to, co mówiłem; nie czyściłem im butów w sąsiednim pokoju. Ale we własnym moim domu nie byłem wkrótce niczem innem, jak tylko podrzędnym sługą. Baptysta nawet był mniej nieszczęśliwym odemnie, mniej poniewieranym. Nie było poniżenia, któreby się z mojem dało porównać. Jezus byłby wszystkie swoje łzy nademną ronił, bo z pośród wszystkich ludzi ja jestem tym, co całą głębię, najgłębszą głębię przebył upokorzeń. Wie pan? Baptysta, ten nieszczęśliwy Baptysta mógł się litować nademną.

W pierwszych latach, dopóki Ciro nic nie rozumiał jeszcze, było to niczem. Kiedy jednak spostrzegłem, że jego rozum się budzi, że w tem słabem, niedołężnem stworzeniu dziwnie prędko rozwija się umysł, kiedy z tych ust usłyszałem pierwsze, okropne pytanie, uczułem, że jestem zgubiony.

Co miałem począć? Jak ukryć przed nim prawdę? Jakież było dla mnie wyjście? Widziałem, że jestem zgubiony.

Jego matka nie troszczyła się o niego. Całe dnie o nim zapominała. Zbywało mu niekiedy na najniezbędniejszem. Biła go nawet czasem. A ja zmuszony byłem długie godziny

przebywać z daleka od niego. Nie mogłem go stale otaczać moją troskliwością; nie mogłem mu życia tak słodkiem uczynić, jak marzyłem, jak tego pragnąłem. Biedne dziecko przepędzało prawie cały czas pod opieką sługi w kuchni.

Oddałem go do szkoły. Sam odprowadzałem go co rana. Popołudniu o piątej chodziłem po niego i nie opuszczałem go już dopóki nie zasnął. W krótkim czasie nauczył się czytać i pisać i prześcignął wszystkich swoich kolegów. Zadziwiające robił postępy. Rozum bił z jego oczu. Gdy patrzył na mnie swojemi wielkiemi, czarnemi, błyszczącemi oczami, temi głębokiemi, i smutnemi oczami, doznawałem niekiedy wewnętrznego niepokoju i nie mogłem długo wytrzymać jego wzroku.

O, czasem wieczorem przy stole, kiedy matka z nami była i milczenie, jak ciężar jaki, nas przygniatało... Cały smutek mojej duszy odzwierciedlał się w tych oczach.

Ale najokropniejsze dnie dopiero miały nastąpić. Wstyd mój zanadto był widoczny, skandal zbyt wielki, pani Episcopo zbyt osławioną. Nadto zaniedbywałem moją robotę w biurze, popełniałem często w aktach pomyłki.

Zdarzało się czasem, że ręka mi tak drżała, że nie mogłem pisać. Moi koledzy i przełożeni uważali mię za zniesławionego, niegodnego szacunku, wyzutego ze wstydu, ogłupiałego, prostego człowieka. Udzielono mi parę razy napomnienia, potem usunięto mię z czynnej służby a w końcu w imię obrażonej moralności dano mi dymisyę.

Aż do tego dnia przedstawiałem przynajmniej wartość mojej płacy. Odtąd nie byłem tyle wart co stara szmata, co czerep wyrzucony na ulicę.

Nic nie jest w stanie dać panu pojęcia o okrucieństwie, o zawziętości, z jaką mię dręczyły moja żona i moja świekra. A przecież zabrały mi te parę tysięcy lirów, które mi jeszcze zostały, agentka otworzyła na moje ryzyko sklep z łokciowymi towarami i z tego małego interesu mogła cała rodzina wyżyć jako tako.

Traktowano mię jak ostatniego włóczęgę, postawiono na jednej stopie z Baptystą. I zastawałem niekiedy w nocy drzwi mego domu zamknięte i głód cierpiałem. Nie cofałem się przed żadną pracą, przed żadnym trudem, podejmowałem się najniższych, najbardziej upokarzających robót. Męczyłem się od rana do wie-

czora, ażeby solda zarobić. Byłem przepisywaczem, posłańcem, suflerem w operetkowem towarzystwie, odźwiernym w redakcyi dziennika, agentem w biurze pośrednictwa małżeństw; robiłem wszystko, do czego tylko przypadek nastręczył mi sposobność, korzyłem się przed różnego rodzaju ludźmi, poniżałem się nawszelkie sposoby, poddawałem mój kark każdemu jarzmu.

I proszę mi powiedzieć, czy po takich nieskończonych dniach wyczerpującej pracy nie należało mi się trochę spokoju, trochę zapomnienia? Wieczorem, jak tylko Ciro zasnął, wychodziłem z domu. Baptysta oczekiwał mnie na ulicy i szliśmy razem do handlu wina, aby pić.

Spokój? Zapomnienie? „W winie troski swoje topić?“ Ach, mój panie, ja piłem zawsze tylko dlatego, że dręczyło mię nieustannie nieugaszone, palące pragnienie. Ale wino ani na chwilę nie sprawiało mi nigdy przyjemności. Siadaliśmy naprzeciwko siebie i nie mieliśmy wcale ochoty do rozmowy. Zresztą nikt tam nie mówił. Czy był pan kiedy w takiej milczącej knajpie? Pijacy siedzą odosobnieni, twarze mają zmęczone, skronie podpierają rękami. Przed nimi stoi szklanka, a oczy ich utkwione są w tej szklance, chociaż

jej może nie widzą. Czy to wino? Czy krew? Tak, mój panie, jest jedno i drugie.

Baptysta oślepł panie zupełnie. Pewnej nocy, kiedyśmy szli razem, stanął pod latarnią gazową i rzekł, obmacując się po brzuchu:

— Widzisz ty, jaki spuchnięty?

Ujął mię potem za rękę, ażeby mi dać wyczuć swoją puchlinę i dodał z niepokojem w głosie:

— Co to może być?

Od wielu tygodni był w takim stanie i nie powiedział nikomu o swojej chorobie.

W kilka dni później udałem się z nim do szpitala, ażeby go poddać zbadaniu lekarzy. Była to puchlina a raczej cała grupa obrzmień, które się niezwykle prędko powiększały. Można było spróbować operacyi, Baptysta się jednak wzbraniał, jakkolwiek na śmierć bynajmniej nie był zrezygnowany.

Włóczył się jeszcze parę miesięcy ze swoją chorobą, w końcu jednak musiał się położyć do łóżka, z którego już nie wstał.

Co za powolna, co za szkaradna śmierć! Agentka umieściła nieszczęśliwego w pewnego rodzaju komórce na stare graty, w ciemnej, du-

sznej dziurze, na uboczu, ażeby nie słyszeć jego jęków. Co dzień go odwiedzałem, a Ciro towarzyszył mi, zawsze chciał mi pomagać... Ach, gdyby go pan był widział, biedne dziecko! Jak dzielnie szedł na rękę ojcu w tem dziele miłosierdzia!

Ażeby lepiej widzieć, zapalałem niedopałek świecy i Ciro mi przyświecał. I odkrywaliśmy to wielkie, zeszpecone, jęki wydające ciało, które umrzeć nie chciało. Nie, to nie był już chorobą złożony człowiek, to był raczej, jakby to powiedzieć? To był... brakuje mi słów... to była ucieleśniona choroba, coś poza naturą będącego, straszna istota, żyjąca własnem życiem, z którą spojone były dwa nędzne ludzkie ramiona, dwie nędzne ludzkie nogi i mała, pokurczona, czerwonawa, odrażająca głowa. Straszne! Straszne! A Ciro mi przyświecał; a pod tę naciągniętą skórę, błyszczącą jak żółtawy marmur, zastrzykiwałem morfinę zardzewiałą wstrzykawką.

Ale dosyć, dosyć o tem. Niech ta biedna dusza spoczywa w spokoju. Teraz chodzi tylko o to, żeby dojść do głównego punktu i nie odbiegać już od przedmiotu.

Przeznaczenie! — Dziesięć lat upłynęło, dziesięć lat rozpaczliwego życia, tysiąc tat piekielnych katuszy. Pewnego wieczora przy stole powiedziała mi Ginevra niespodziewanie w obecności Cira:

— Wiesz, Wanzer wrócił.

Nie zbladłem, z pewnością nie. Bo, widzi pan, kolor mojej twarzy nie zmienia się oddawna, śmierć jej nawet nie zmieni i taką, jak jest, wezmę już ze sobą pod ziemię. Ale przypominam sobie, że nie byłem w stanie poruszyć językiem, ażeby chociaż jedno słowo powiedzieć.

Patrzyła na mnie swoim przeszywającym wzrokiem, który mię zawsze strachem przejmował, jak tchórza widok nabitej broni. Zauważyłem, że obserwuje moje czoło, moją bliznę. I uśmiechała się wyzywającym, ironicznym uśmiechem. I rzekła, nie spuszczając oczu z blizny, z zamiarem wyrządzenia mi przykrości:

— Zapomniałeś o Wanzerze? Zostawił ci przecie na czole taką ładną pamiątkę.

Wówczas i Ciro także utkwił swój wzrok w mojej bliźnie i wyczytałem w jego oczach pytania, z któremi mógł zwrócić się do mnie:

— Jakto, opowiadałeś mi przecie nieraz, że

skaleczyłeś się przy jakimś upadku? Dlaczegóż to kłamstwo? Któż jest ten człowiek co cię tak naznaczył?

Przymrużył jednak oczy i milczał.

Ginevra mówiła dalej:

— Spotkałam go dziś rano. Poznał mię zaraz. Ja go nie poznałam w pierwszej chwili, bo zapuścił brodę. Nic o nas nie wiedział. Mówił mi, że cię już od paru dni szuka. Chce się z tobą zobaczyć, ten dobry przyjaciel. Poszczęściło mu się widać w Ameryce, sądząc przynajmniej z jego wyglądu...

Mówiąc, spoglądała ciągle na mnie i uśmiechała się swoim niedającym się określić uśmiechem. Od czasu do czasu spotykałem się ze wzrokiem Cira i czułem, że on czuje, że cierpię.

Po chwili dorzuciła Ginevra:

— Przyjdzie tu dziś. Lada chwila tu będzie.

Na dworze lał deszcz, jak z cebra. Doznawałem jednak uczucia, jakby ten nieustanny, monotonny szum nie pochodził z zewnątrz, tylko, jakby się odbywał we mnie, jakbym zażył wielką dozę morfiny. I naraz utraciłem poczucie rzeczywistości, opanowała mię ta dziwna atmosfera, o której panu już mówiłem; miałem znów w głębi

mojej duszy uczucie, że przeżywam coś, co już kiedyś przeżyłem. Rozumie pan? Zdawało mi się, że biorę udział w nieuchronnem powtórzeniu całego szeregu wypadków, które się już wydarzyły. Czy słowa Ginevry były nowe? Czy ten niepokój oczekiwania był nowy? Czy to przykre uczucie, którego przyczyną były oczy mego syna, zwracające się zbyt często na moje czoło, na moją przeklętą bliznę, było nowe? Nic, nic z tego wszystkiego nie było nowego.

Siedzieliśmy wszyscy troje przy stole w milczeniu. Na twarzy Cira odbijał się niezwykły niepokój. Było coś szczególnego w tem milczeniu: coś głębokiego i ciemnego, z czego nie umiałem sobie zdać sprawy.

Naraz rozległ się odgłos dzwonka.

Spojrzeliśmy po sobie, ja i mój syn. Ginevra rzekła do mnie:

— Wanzer. Idź, otwórz.

Poszedłem i otworzyłem. Członki moje spełniły tę czynność, ale woli ku temu nie było we mnie.

Wanzer wszedł.

Czy mam panu tę scenę opisywać, powtarzać jego słowa? W tem, co on mówił, co robił,

cośmy mówili, cośmy robili, nie było nic niezwykłego. Dwaj przyjaciele, którzy się witają, ściskają, wymieniają pytania i odpowiedzi. To było pozornie wszystko.

Miał na sobie płaszcz od deszczu z kapturem, zupełnie przemoknięty, błyszczący. Wydawał się wyższym, tęższym, pyszniejszym. Na palcach miał dwa czy trzy pierścienie, szpilkę złotą w krawacie i złoty łańcuszek przy zegarku. Mówił bez zakłopotania, jak człowiek pewny siebie. Byłże to ten złodziej, który pod osłoną zadawnienia powrócił do kraju?

Spoglądając na mnie badawczo, powiedział mi między innemi:

— Postarzałeś się bardzo. Pani Ginevra natomiast jest świeższą, aniżeli kiedykolwiek...

I z pod przymkniętych powiek rzucał, uśmiechając się, namiętne spojrzenia na Ginevrę. Pożądał jej już, i posiadania jej był pewny.

— Powiedz szczerze — mówił dalej — czy to nie ja skleiłem to małżeństwo? Doprawdy ja. Przypominasz sobie? Hahaha! Pamiętasz?

Śmiał się, śmiała się Ginevra, i ja także próbowałem się śmiać. Przejąłem się, zdaje mi się, doskonale rolą Baptysty. Ten biedny Baptysta

(pokój jego duszy!) pozostawił mi w spadku swój śmiech nerwowy, bezmyślny. Pokój jego duszy!

Ciro tymczasem, nie ruszając się, spoglądał ciągle na matkę, na przybysza i na mnie. Gdy oko jego spoczywało na Wanzerze, przybierało wyraz surowości, jakiej nigdy u niego nie widziałem.

— To dziecko do ciebie podobne — mówił — więcej podobne do ciebie, aniżeli do matki.

I wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać po włosach. Ciro jednak drgnął i wywinął się od tej ręki tak gwałtownym ruchem głowy, że Wanzer zmieszał się całkiem.

— Na! Masz prostaku! — krzyknęła matka i dała mu z całej siły policzek.

— Wyprowadź go! Wyprowadź! Natychmiast! — rozkazała mi, blada ze złości.

Wstałem, posłuchałem. Ciro zwiesił głowę na piersi, ale nie płakał. Słyszałem, jak zgrzytał zaciśniętymi zębami.

Kiedyśmy przyszli do naszego pokoju, podniosłem w górę z miłości pełną tkliwością jego głowę i zobaczyłem na chudym policzku czer-

wony odcisk jej palców. Z łez pociemniało mi w oczach.

— Boli? Powiedz, bardzo boli? Ciro, Ciro, odpowiedz mi. Bardzo cię boli? — pytałem i pochylałem się z rozpaczą nad tym biednym, shańbionym policzkiem, który radbym był zmyć nie łzami mojemi, ale jakimś drogocennym balsamem.

Nie odpowiadał. Nie płakał. Nigdy, nigdy nie widziałem u niego tego wyrazu, tego surowego, wrogiego, niemal dzikiego wyrazu: tego zmarszczonego czoła, tych groźnych ust, tej szarej cery.

— Ciro, Ciro, mów, moje dziecko! — Nie odpowiadał. Odwrócił się odemnie, poszedł do łóżka i zaczął się w milczeniu rozbierać. Z nieśmiałą, błagalną prawie miną zbliżyłem się do niego, aby mu pomódz. Myśl, że do mnie także może mieć urazę, była dla mnie śmiercią.

Ukląkłem przed nim, aby mu rozsznurować trzewiki. I długo pozostawałem w takiej pozycyi, leżąc nad jego nogami, serce do nóg jego tuląc; serce, które mię gniotło jak masa ołowiana tak, że zdawało mi się, że nie będę się już mógł podnieść.

— Tatku, tatku! — wybuchnął nagle, chwytając mię za skronie.

I trwogi pełne pytanie zawisło mu na ustach.

— Mówże! mów! — błagałem, ciągle jeszcze klęcząc nad jego nogami.

Urwał, nic więcej nie powiedział, wszedł do łóżka, wsunął się pod kołdrę, wcisnął głowę w poduszkę. I wkrótce potem zaczął kłapać zębami, jak to niekiedy robił w zimowe, mroźne ranki. Moje pieszczoty nie uspokoiły go, moje słowa pozostały bez skutku.

Ach, panie, kto przebył to, co ja przeczułem w tej godzinie, ten zasłużył na niebo.

Byłaż to tylko godzina, co tak przeszła? — W końcu zdawało mi się, że się Ciro uspokoił. Przymrużył oczy, jakby zasypiając. Twarz mu się rozpogadzała, dreszcze ustały. Siedziałem przy jego łóżku, nie ruszając się.

Deszcz nie przestawał padać. Od czasu do czasu, unoszony silniejszym prądem wiatru, bił w szyby, i Ciro szeroko otwierał oczy, potem je znów przymykał.

Uspokajałem go za każdym razem:

— Śpij, śpij; jestem przy tobie. Śpij, moje dziecko ukochane.

Ja sam jednak bałem się. Nie byłem w stanie opanować trwogi. Dokoła siebie, nad sobą czułem jakby straszną groźbę. I powtarzałem ciągle:

— Śpij, moje dziecko, śpij!

Przeraźliwy, przejmujący krzyk rozległ się nad naszemi głowami. Ciro podskoczył na łóżku, uczepił się mego ramienia i przerażony, bez tchu:

— Tatku, tatku, słyszałeś?

I oba, przytuleni do siebie, jednakim strachem przejęci, nadsłuchiwaliśmy, czekaliśmy.

Drugi, urywany krzyk, jakby kogoś mordowano, przebił się do nas, a potem jeszcze jeden, jeszcze dłuższy, jeszcze bardziej przejmujący, który poznałem, który już raz jednej dawno minionej nocy słyszałem...

— Uspokój się, uspokój. Nie bój się. To ta pani rodzi, na górze, nad nami. Wiesz przecie: pani Bedetti... Uspokój się, Ciro, to nic.

Ale krzyki nie ustawały. Coraz przeraźliwiej rozbrzmiewały przez mury, wciskały się do naszych uszu. Było to jak śmiertelny ryk mordowanego zwierzęcia. Przywidywała mi się krew. I instynktownie pozatykaliśmy sobie uszy rę-

kami, w oczekiwaniu na koniec tych mąk śmiertelnych.

Ustał krzyk. Deszcz pluskał po szybach. Ciro wsunął się znów pod kołdrę i przymrużył oczy. Powtarzałem:

— Śpij, śpij. Nie ruszę się od ciebie.

Upłynęło nie wiem ile czasu. Poddałem się losowi, jak się zwyciężony poddaje nieubłaganemu zwycięzcy. Byłem zgubiony, bezpowrotnie zgubiony.

— Chodź, Giovanni, Wanzer odchodzi.

Głos Ginevry! Zdrętwiałem. Widziałem, że Ciro także drgnął, nie ruszył jednak powiekami. Nie spał więc?

Wahałem się czy posłuchać. Ginevra uchyliła znów drzwi i powtórzyła:

— Chodź, Wanzer odchodzi.

Wstałem; wyszedłem po cichu z pokoju w nadziei, że Ciro nic nie zauważy.

Kiedy znów stanąłem wobec tego człowieka, wyczytałem wyraźnie w jego oczach wrażenie, jakie na nim wywarłem. Musiałem wyjść do niego jak umierający, który się jakąś nadnaturalną siłą trzyma jeszcze na nogach. Ale on nie miał dla mnie litości.

Patrzył na mnie, mówił do mnie zupełnie w dawny sposób. Był panem, który znów odnalazł swojego służalca. I myślałem: „O czem oni też przez ten czas mogli mówić, co mogli robić, co mogli wymyśleć?“

Dostrzegłem zaraz u obojga zmianę. Głos Ginevry, gdy się do niego zwracała, miał zupełnie inny dźwięk, niż przedtem. Kiedy jej oczy spoczywały na nim, to pokrywały się jakąś powłoką, tą powłoką...

— Deszcz ciągle pada — rzekła — musisz pójść po dorożkę.

Rozumie pan? Rozkazywała mi. Wanzer nie oponował. Wydawało mu się całkiem naturalnem, żebym mu sprowadził dorożkę. Czyż nie zagarnął mnie znów na swoje usługi?... A ja się ledwo na nogach mogłem utrzymać! I oboje widzieli bezwątpienia, że trzymam się z wysiłkiem.

Okrucieństwo nie do uwierzenia! Ale cóż miałem robić? Wzbraniać się? Stawiać opór w tej chwili? Mogłem był powiedzieć: „Jestem chory“. Milczałem jednak. Wziąłem kapelusz, parasol i poszedłem.

Gaz na schodach był już zgaszony. Tysiące świateł jednak kręciło się w ciemności przed

mojemi oczyma, a w mózgu moim przesuwały się z błyskawiczną szybkością dziwne, niedorzeczne, bez żadnego związku myśli. Przystanąłem na chwilę na schodach, bo mi się zdawało, że jestem bliskim szaleństwa. Ale nic mi się nie stało. Słyszałem wyraźnie śmiech Ginevry; słyszałem hałas, jaki robili lokatorowie nad nami. Zapaliłem zapałkę i zeszedłem na dół.

W chwili gdy już miałem wyjść z bramy na ulicę, usłyszałem wzywający mię głos Cira. Nie było to złudzenie, słyszałem rzeczywiście wołanie, tak samo jak słyszałem śmiech i hałas na górze. Zawróciłem, z nieprawdopodobną lekkością przebiegłem schody.

— Już z powrotem? — zawołała Ginevra, widząc mnie wchodzącego.

Byłem tak bez tchu, że nie mogłem w pierwszej chwili przemówić. W końcu wyjąkałem:

— Nie mogę... Muszę iść do mego pokoju... Niedobrze mi...

I pospieszyłem do syna.

— Wołałeś mnie? — zapytałem, skoro tylko drzwi otworzyłem.

Siedział na łóżku i zdawało się, że nadsłuchuje.

— Nie, — odpowiedział, — nie wołałem cię. Myślę jednak, że nie mówił prawdy.

— Może mię przez sen wołałeś? Nie spałeś? Popatrzył na mnie niespokojnie, podejrzliwie.

— Co tobie jest? — zapytał. — Dlaczegoś taki zadyszany? Cóżeś ty robił?

— Uspokój się, Ciro! — prosiłem, wykręcając się od odpowiedzi i okrywając go pocałunkami. — Zostanę przy tobie, nie ruszę się już. Śpij już, kochanku, śpij.

Z westchnieniem ułożył się znów na poduszkach. Zamrużył potem oczy i udawał, że śpi. Po chwili jednak otworzył je i zapytał z niedającym się opisać wyrazem na twarzy:

— Czy on tam jest jeszcze?

Od tej nocy począwszy nie opuszczało mię tragiczne przeczucie. Był to jakiś rodzaj nieokreślonej, tajemniczej trwogi, która się zakorzeniła w najdalszej głębi mojej istoty, tam, gdzie światło rozumu nie mogło przeniknąć. Z pomiędzy wszystkich otchłani, jakie w sobie odkryłem, ta była nieprzeniknioną i wydawała się straszniejszą jeszcze niż wszystkie. Rozmyślałem ciągle

nad nią, badałem ze strachem jej głębię w nadziei, że jakiś nagły błysk oświetli mi ją, odkryje. Zdawało mi się chwilami, jakbym czuł to coś, nieznane, wznoszące się zwolna z dna, jakbym się go dotykał, ocierał się o nie, i to coś spadało znów potem nagle w głąb, zesuwało się w cień, pozostawiając mnie w dziwnem, nie odczuwanem nigdy przerażeniu. Rozumie mnie pan? Niech pan sobie wyobrazi, żeby mnie zrozumieć, mój panie, że pan stoi na brzegu studni, której głębi nie może pan zmierzyć. Studnia ta jest do pewnego poziomu oświetlona światłem dziennem, ale pan wie, że głębiej, w ciemności, ukrywa się coś nieznanego, strasznego. Nie widzi pan tego czegoś, ale pan czuje jak się niewyraźnie porusza. I zwolna wznosi się to coś w górę, dosięga granicy cieniu, gdzie go pan jeszcze nie może rozeznać. Jeszcze trochę, jeszcze trochę i zobaczy pan nareszcie. Ale to coś staje, cofa się, znika panu z oczu i zostawia pana zdrętwiałego z przestrachu...

Nic, nic... Dziecińśtwa, dziecińśtwa... Pan mnie nie może zrozumieć.

Oto są fakty. W kilka dni opanował Wanzer

mój dom, zamieszkał u mnie jako pensyonarz... A ja, ja byłem dalej niewolnikiem i dalej drżałem. Czy potrzeba panu teraz jeszcze przedstawiać rozwiązanie tych faktów? Czy muszę je wyjaśnić? Czy wydaje się ono panu może szczególnem? 'Czy mam panu może mówić o cierpieniach Cira? o jego niemym, tłumionym gniewie, o jego cierpkich słowach, ponad które przeniósłbym każdą truciznę, o nagłych krzykach i łkaniach w nocy, że stawały mi włosy na głowie, i o strasznych, śmiertelnych kurczach, które go napadały w łóżku. A jego łzy, jego łzy, które czasami bez końca zaczynały spływać, które, jedna po drugiej, perliły się w oczach niezaczerwienionych, bez blasku... Ach, mój panie, trzeba było to dziecko zobaczyć płaczące, żeby wiedzieć jak dusza płacze.

Zasłużyliśmy na niebo. Jezusie! Ty, Jezusie! czy nie zasłużyliśmy na niebo?

Dziękuję panu, mój panie, dziękuję. Mogę mówić dalej. Pozwól mi pan dalej mówić, bo inaczej nigdy nie dojdę do tego, żeby panu koniec opowiedzieć. Jesteśmy już blisko tego, pan

wie. Jesteśmy już zupełnie blisko. Jesteśmy już przy końcu. Jaki dzień mamy dzisiaj? Dwudziesty szósty lipca? No, to było dziewiątego lipca, dziewiątego tego miesiąca! Zdaje się, że to już sto lat upłynęło, a to jakby wczoraj było.

Stałem w magazynie pewnego sklepu korzennego, pochylony nad moim pulpitem, zajęty rachunkami. Znużony byłem pracą i gorącem, muchy dokuczały mi w nieznośny sposób, zapach korzeni przyprawiał mnie o mdłości. Mogła być trzecia popołudniu. Przerywałem często robotę, ażeby pomyśleć o Cirze, któremu gorzej było w tych dniach aniżeli zwykle. Widziałem w duchu jego twarz zeszczuplałą, zmizerowaną cierpieniem, bladą jak świeca woskowa.

Niech pan zwróci uwagę na jedną okoliczność, mój panie. Przez szparę w ścianie, za mną, ponad moją głową wciskał się promień słoneczny.

Niech pan zwróci uwagę także na inne okoliczności. Praktykant, tęgi młody człowiek, leżał rozciągnięty na workach i spał, a tysiące much unosiło się nad nim, jak nad padliną. Wtem wszedł właściciel magazynu i skierował się do kąta, gdzie stała umywalnia. Miał krwotok no-

sowy, a że idąc, pochylił się naprzód, ażeby sobie nie powalać koszuli, kapała krew na ziemię.

Kilka minut upłynęło wśród tak głębokiej ciszy, jakby życie zamarło. Nie pokazał się żaden interesant, żaden wóz nie przejeżdżał, praktykant przestał chrapać.

Naraz usłyszałem głos Cira:

— Gdzie tata?

I zobaczyłem go wyłaniającego się z pośród worków, beczek, z pośród tych gór mydła, delikatnego, wątłego, prawie przeźroczystego jak duch — zobaczyłem go jak w halucynacyi. Pot spływał z jego czoła, wargi mu drżały, ale zdawało się, że go ożywia dzika prawie energia.

— Ty tutaj, o tej porze? — zapytałem go. — Cóż się stało?

— Chodź, tatku, chodź.

— Ale cóż się stało?

— Chodź, chodź ze mną.

Mówił głosem ochrypłym, ale stanowczym. Porzuciłem wszystko i powiedziałem:

— Zaraz wrócę.

Wyszedłem z nim, potykając się, chwiejąc na nogach, które mnie zaledwo jeszcze nosiły.

Byliśmy na Via Tritone. Skierowaliśmy się

w górę na Piazza Barberini — morze białego żaru — plac pusty, bezludny. Nie wiem, czy bezludny, ale nie widziałem nic więcej tylko żar biały. Ciro uczepił się mojej ręki.

— No cóż, nic nie mówisz? Cóż się stało? — zapytałem go po raz trzeci, pomimo strachu przed tem, co mi miał powiedzieć.

— Chodź, chodź ze mną, Wanzer ją bił... bił ją...

Złość tłumiła mu głos. Zdawało się, że nie może więcej powiedzieć. Przyspieszył kroku i ciągnął mnie za sobą.

— Widziałem, mojemi oczami widziałem — mówił dalej. — Usłyszałem z mojego pokoju, że krzyczą; słyszałem ich słowa... Wanzer zasypywał ją obelgami... przezywał ją... O, wszystkiemi temi przezwiskami... Wiesz? I widziałem jak się na nią rzucił z podniesionemi pięściami, wrzeszcząc: „Masz, masz, masz!“ Po twarzy, po piersiach, po ramionach, wszędzie, z całej siły, z całej siły!... „Masz! masz!“ I lżył ją... Ach, ty wiesz już, jak.

Głos zmieniony nie do poznania: zachrypnięty, ostry, syczący i stłumiony dziką niena-

wiścią tak, że z przerażeniem myślałem: „Teraz się przewróci, padnie i nie wstanie z bruku“.

Nie padł; biegł, jak tylko mógł najprędzej, ciągnąc mię za sobą wśród skwaru słonecznego.

— Myślisz może, że się schowałem, że siedziałem w kącie? Myślisz, że się bałem? Nie, nie, nic się nie bałem. Przyskoczyłem do niego, objąłem go za kolana, ukąsiłem go w rękę... Więcej zrobić nie mogłem, brakło mi sił... Przewrócił mnie na ziemię; potem rzucił się znów na mamę; szarpał ją za włosy... Ach, nikczemnik, nikczemnik!

Musiał przerwać, dusił się.

— Nikczemnik! Porwał ją za włosy, zawlókł do okna... Chciał ją wyrzucić... Puścił ją w końcu... „Muszę stąd uciekać, bo inaczej, zabiłbym cię“. Tak powiedział. I wybiegł z domu... Ach, gdybym był nóż miał!

Znowu musiał przerwać, żeby się nie udusić. Byliśmy na bezludnej ulicy San Basilio. Z obawy, żeby nie padł, żeby mnie samego siły nie opuściły, prosiłem go:

— Stań, stań na chwilę, Ciro! Wypocznijmy trochę, tu w cieniu. Nie mogę już.

— Nie, musimy się spieszyć; musimy jeszcze

przyjść na czas... Gdyby Wanzer wrócił, ażeby ją zabić?... Bała się, mama się bała, żeby nie wrócił i nie zabił jej. Słyszałem jak mówiła Maryi, żeby jej przyniosła kufer i spakowała rzeczy, bo chciałaby z Rzymu wyjechać natychmiast... do Tivoli, zdaje mi się, do ciotki Amalii... Musimy jeszcze przyjść na czas. Pozwolisz jej odjechać?

Przystanął, ale tylko dlatego, żeby mi w twarz popatrzeć i usłyszeć moją odpowiedź. Wyjąkałem:

— Nie... nie...

— A jego, czy znowu wpuścisz do domu? Nic mu nie powiesz? Nic mu nie zrobisz?

Nie dałem żadnej odpowiedzi. I nie spostrzegł, że ginę ze wstydu i bólu. Nie spostrzegł nic; bo po chwili rzekł nagle głosem, który mi się wydał już nie tym samym co przedtem, głosem, drżącym ze wzruszenia:

— Tatku, tatku, ty się nie boisz... Ty go się nie boisz, prawda?

— Nie... nie... — wybełkotałem.

I szliśmy dalej w straszny upał, mijając willę Ludovisi, stosy cegły, doły wapienne, które mię oślepiały i pociągały do siebie. „Lepiej, o wiele

lepiej spalić się żywcem w jednym z tych dołów, niż stawić czoło nieznanemu niebezpieczeństwu". Ale Ciro wziął mię znów za rękę i ciągnął za sobą na oślep na spotkanie z przeznaczeniem.

Przybyliśmy. Wyszliśmy po schodach.

— Masz klucz? — zapytał Ciro.

Miałem go. Otworzyłem drzwi. Ciro wszedł pierwszy i zawołał:

— Mamo! mamo!

Żadnej odpowiedzi.

— Maryo!

Żadnej odpowiedzi. Dom był pusty, wypełniony światłem i przykrą ciszą.

— Odjechała już! — rzekł Ciro. — Co będziesz robił?

Wszedł do jej pokoju. Powiedział:

— Tu się to działo.

Jedno krzesło leżało jeszcze wywrócone. Spostrzegłem na podłodze zgiętą szpilkę do włosów i czerwoną kokardę. Ciro, którego oczy śledziły mój wzrok, schylił się, wziął parę długich włosów i pokazał mi je:

— Widzisz?

Trzęsły mu się ręce i wargi. Ale przepadła

jego energia. Opuszczały go siły. Widząc, że się chwieje i traci przytomność, porwałem go w ramiona.

— Ciro, Ciro! mój chłopczyno ukochany! — wołałem.

Zemdlał. Nie wiem jak mi się udało opanować niemoc, która i mnie już groziła. „Gdyby tak Wanzer wrócił w tej chwili?“ — przeszło mi przez głowę. Nie wiem, jak zdołałem zanieść to biedne stworzenie na łóżko.

Przyszedł do siebie i przemawiałem do niego:

— Musisz teraz wypocząć. Rozebrać się? Masz gorączkę. Pójdę po lekarza. Ale się rozbierz najprzód, powoli, ostrożnie. No, chcesz?

Mówiłem i robiłem to wszystko, jak gdyby się już nic wydarzyć nie mogło, jakgdyby to codzienne zajęcie, pielęgnacya mojego dziecka, było jedyną moją tego dnia troską. Czułem jednak, wiedziałem, byłem zupełnie pewny, że rzeczy inny obrót wezmą, inny obrót wziąć muszą. I jedna tylko myśl, jedyna świdrowała mi mózg, jedno jedyne gnębiło mię oczekiwanie. Strach, który obrał sobie siedlisko w głębi mojej duszy, rozszerzył się teraz na całą moją istotę

i sprawiał, że włosy od korzonków, aż do kończyn stawały mi na głowie.

Powtórzyłem:

— Pozwól mi rozebrać się i położyć do łóżka.

Odpowiedział:

— Nie, zostanę w ubraniu.

Ani jego głos zmieniony, ani żadne inne, chociażby najboleśniejsze słowa nie były w stanie zatrzeć w moich myślach jego prostego a strasznego pytania: „Co będziesz robił?“

„Co będziesz robił? Co będziesz robił?“

Wszelkie działanie było dla mnie nie do pojęcia. Niepodobna mi było powziąć jakiegoś planu, jakiegoś postanowienia, obmyśleć jakiś atak czy obronę. Czas uchodził, nic się nie działo. Powinienem był wezwać do Cira lekarza; ale czy pozwoliłby mi Ciro odejść. A gdyby pozwolił, to musiałbym go zostawić samego. Mogłem spotkać na schodach Wanzera. Co potem? Albo Wanzer mógł przyjść podczas mojej nieobecności. A potem?

Według wyrażonego przez Cira zdania miałem nie dopuścić Wanzera do domu, miałem mu coś powiedzieć, coś zrobić. Mogłem więc

zamknąć drzwi na rygiel z wewnątrz i Wanzer nie otworzyłby już kluczem. Ale dzwoniłby, pukał, narobiłby piekielnego hałasu. A potem?

Czekaliśmy.

Ciro leżał na swojem łóżku. Ja siedziałem obok niego i trzymałem go za rękę, badając puls. Tętno stawało się coraz mniej regularnem, coraz szybszem.

Nie mówiliśmy nic. Zdawało nam się, że słyszymy tysiące szelestów a przecież słyszeliśmy tylko szum krwi w naszych żyłach. W oknach jaśniał głęboki błękit, jaskółki przelatywały tak blisko, jakby chciały wlecieć do pokoju, było tak, jakby jakieś tchnienie wydymało firanki; na podłodze zarysowywało słońce dokładny prostokąt okna, a w nim migały się cienie jaskółek. Ale dla mnie wszystkie te rzeczy nie były już rzeczywistością, były tylko złudzeniem, to nie było już życie, tylko senny obraz życia. Moja trwoga nawet stała się złudzeniem. — Jak dużo upłynęło czasu?

Ciro rzekł:

— Mam silne pragnienie. Daj mi trochę wody.

Wstałem, ażeby mu się dać napić. Ale karafka na stole była próżna. Wziąłem ją, mówiąc:

— Przyniosę ci świeżej wody z kuchni.

Pospieszyłem do kuchni i podstawiłem karafkę pod kurek od wodociągu.

Kuchnia była tuż obok przedpokoju. Naraz ucho moje rozróżniło wyraźnie szelest klucza, obracanego w zamku. Skamieniałem tak, że bezwarunkowem niepodobieństwem było dla mnie ruszyć się. Słyszałem jednak otwierające się drzwi. Rozpoznałem chód Wanzera.

— Ginevro! — zawołał.

Cisza. Postąpił parę kroków i zawołał jeszcze raz:

— Ginevro!

Milczenie. Znowu kroki. Prawdopodobnie szukał jej teraz w pokojach. Bezwarunkowo nie mogłem się ruszyć.

Nagle usłyszałem krzyk mego syna, dziki wrzask, który w jednej chwili wyprowadził mię ze zdrętwienia. Wzrok mój padł na długi nóż kuchenny, połyskujący na szafce i w jednem okamgnieniu chwyciła go moja ręka. Nieprawdopodobną siłę uczułem w ramieniu, jakby wichrem unoszony znalazłem się na progu pokoju mego dziecka: i zobaczyłem mojego syna oplatającego

z kocią zajadłością wielki korpus Wanzera, i zobaczyłem jak ten kładł swoją rękę na chłopcu...

Dwa, trzy, cztery razy zapchałem mu nóż w stos pacierzowy, aż po rękojeść.

Ach, mój panie, przez litość, nie opuszczaj mnie pan, nie zostawiaj mnie pan samego! Przed wieczorem jeszcze umrę, przyrzekam panu, że umrę. Potem może pan odejść. Zamknie mi pan oczy i pójdzie pan. Nie, nawet tego nie wymagam od pana. Sam je zamknę, zanim skonam.

Popatrz pan na moją rękę. Dotykała się powiek tego człowieka i pożółkła z tego... Ale ja chciałem zamknąć te powieki, bo Ciro wyrywał się co chwila z pościeli i krzyczał:

— Tatku, tatku, on patrzy na mnie.

Ale jakże on mógł patrzeć na niego, kiedy był nakryty? Czy umarli mogą patrzeć przez sukno?

A lewa powieka, zimna, jak lód zimna, stawiła opór...

Tyle krwi! Czy to możliwe, żeby w człowieku było całe morze krwi? Żyły zaledwo się widzi, takie są delikatne, że zaledwo je można

zobaczyć. A przecież... Nie wiedziałem, gdzie mam nogę postawić, trzewiki moje nasiąkły nią jak dwie gąbki — dziwne, prawda? — jak dwie gąbki.

W jednym tyle krwi a w drugim ani kropli: — lilia...

Oh, mój Boże, lilia! Więc są jeszcze białe rzeczy na świecie?

Tyle lilij!

Ale patrz pan, patrz pan, mój panie! Jak mi jest? Co za błogi spokój mnie ogarnia?

Przed wieczorem, o, jeszcze przed wieczorem...

Zalatuje jaskółka. — —

Wpuśćcie ją... wpuśćcie jaskółkę.

MĘCZENNIK.

„Trinita“ naładowana zbożem, przeznaczonem dla Dalmacyi, podniosła kotwicę około wieczora. Posuwała się wzdłuż długiego rzędu łodzi, od Ortony, w dół cichej rzeki, podczas gdy na brzegu zapalano światła, a majtkowie, którzy zawinęli do portu, zawodzili pieśni. Minąwszy w końcu wąski przesmyk, wypłynęła na morze Adryatyckie.

Pogoda sprzyjała. Z październikowego nieba zwisał pełny księżyc, ocierając się prawie o wodę, jak lampa, w łagodnem, różowawem świetle. W głębi zarysowywały się góry i pagórki. Dzikie ptactwo przeciągało cicho, gubiąc się w przestworzu.

Z początku manewrowała cała załoga, ażeby kierunek nadać statkowi. A gdy już lekki wietrzyk wydął czerwone, niezgrabnemi figurami ozdobione żagle, usiadło sześciu ludzi w mil-

czeniu, zapalając fajki. Chłopiec okrętowy nucił na przodzie statku jakąś pieśń ludową.

— Nie utrzyma się pogoda — mruknął, spluwając w wodę, starszy Talamonte.

Na te prorocze słowa, nic nie mówiąc, rozejrzeli się wszyscy po morzu. Byli to tędzy, przez niebezpieczeństwa życia morskiego zahartowani marynarze. Często odbywali żeglugę na wyspy Dalmatyńskie, do Zary, Tryestu, Spalato. Dobrze znali drogę. Niektórzy z nich zachowali przyjemne wspomnienia o owocach wysp, o winie z Dignano, co pachnie różami.

Właścicielem „Trinity" był Ferrante La Selvi. Dwaj bracia Talamonte, Ciru, Massacese i Gialluca, wszyscy rodem z Pescary, tworzyli załogę. Chłopiec okrętowy nazywał się Nazareno.

Noc była księżycowa, siedzieli więc długo jeszcze na pokładzie. Morze roiło się od łodzi rybackich. Od czasu do czasu zbliżała się któraś z nich do „Trinity" i marynarze wymieniali ze sobą słowa pozdrowienia. Połów, zdawało się, był dobry.

Kiedy już minęli łodzie i byli sami na morzu, Ferrante i Talamonte zeszli do kabiny, aby wypocząć. Massacese i Gialluca, wypaliwszy fajki,

zrobili to samo. Ciru został, jako warta, na pokładzie. Zanim zeszli, pokazał Gialluca towarzyszowi jedno miejsce na szyi i rzekł:

— Popatrz-no, co ja tam mam.

Massacese spojrzał i odpowiedział:

— Nic wielkiego. Nie zważaj na to.

Była to czerwona plama, jakby od ukąszenia jakiegoś owada, a w środku plamy widać było mały pęcherzyk.

Gialluca dorzucił:

— To boli.

W nocy zmienił się wiatr i morze zaczęło się burzyć. Statek tańczył po falach, pędziło go na wschód, stracił kierunek. Podczas manewrowania wydawał Gialluca cichy jęk co chwila, bo każdy silniejszy ruch głową sprawiał mu ból przykry.

Ferrante La Selvi zapytał:

— Co ci jest?

Przy świetle pierwszego brzasku dziennego pokazał Gialluca swój wrzód. Zaczerwienienie rozszerzyło się na skórze, a pęcherzyk we środku powiększył się znacznie.

Przypatrzywszy się, powiedział także Ferrante:

— Nic wielkiego. Nie zważaj na to.

Gialluca wziął chustkę i obwiązał sobie szyję. Potem zapalił fajkę.

Statek, miotany przez wiatr i bałwany, pędził ku wschodowi. Szum morza przygłuszał rozmowę. Od czasu do czasu przez pokład z hukiem przewalały się fale.

Nad wieczorem uspokoił się orkan i księżyc wynurzył się z wody, podobny do ognistej kopuły. Wiatr ustał, żagle opadły i statek zwolna unosił się na falach wśród ciszy. Czasem tylko czuć było lekki, przemijający wietrzyk.

Gialluca skarżył się na bóle. Towarzysze jego, nie mając teraz nic do roboty, uznali na czasie zająć się jego cierpieniem. Każdy radził co innego. Ciru z tytułu starszeństwa zrobił początek i doradzał plaster z mąki i miodu. Posiadał pewne wiadomości z medycyny, bo żona jego uprawiała równocześnie sztukę lekarską i czary, i uzdrawiała ludzi lekami i zamawianiem. Ale cóż, ani miodu, ani mąki nie było na statku, a suchar nie wywarłby żadnego skutku.

Wziął więc Ciru garść ziarna i cebulę. Ziarno roztarł, cebulę posiekał i zrobił z tego plaster. Kiedy tę mieszaninę przyłożono do wrzodu, uczuł Gialluca ból jeszcze silniejszy. W kwa-

drans później zerwał ze złością opaskę z szyi i rzucił ją do morza. Ażeby przemódz ból, zasiadł u steru i długi czas kierował sam statkiem. Wiatr się wzmógł i żagle trzepotały wesoło. W jasną noc rozróżniano wyraźnie na horyzoncie wysepkę, podobną do spoczywającego na wodzie obłoku; niezawodnie Pelagosa.

Nazajutrz rano chciał Ciru, który pielęgnowanie Gialluc'i uważał odtąd za swój obowiązek, opatrzyć chorego. Wrzód rozszerzył się na znacznej części szyi, przybrał inny kształt i ciemniejszy kolor, ku środkowi posiniał.

— Oho! a to co? — zawołał takim głosem, że chory zerwał się przestraszony.

I przywołał Ferrante'a, obydwóch Talamontów, wszystkich towarzyszów.

Zdania się różniły. Ferrante widział w tem straszną chorobę, która Gialluc'ę o śmierć może przyprawić. Gialluca pobladł trochę i słuchał tych przepowiedni z szeroko otwartemi oczami.

Gęsta mgła pokrywała niebo, ponuro i groźnie wyglądało morze, stada mew przeciągały ku wybrzeżu, bijąc niespokojnie skrzydłami, wydając głośne krzyki. Wszystko to przepełniało jego duszę nieznaną dotąd trwogą.

— To niebezpieczny wrzód, — zauważył w końcu sentencyonalnie młodszy Talamonte.

— Tak, tak! niebezpieczny -- przytwierdzili inni.

Na drugi dzień pokazała się rzeczywiście krwią zabarwiona ropa, która wyciekała z pod cienkiej skóry obrzmienia. Wrzód pękł. Chore miejsce wyglądało jak gniazdo os, z którego materya płynęła obficie. Zapalenie i ropienie zwiększało się w niesłychany sposób.

W trwodze przyzywał Gialluca świętego Rocha, który leczy rany. Ofiarował dziesięć, dwadzieścia funtów wosku. Klęcząc na środku pokładu, wznosił ku niebu ramiona i z tragicznymi gestami czynił śluby, zaklinając się na ojca, na matkę, na żonę, na dzieci. Otaczający go towarzysze po każdem zaklęciu robili z uroczystemi minami znak krzyża świętego.

Ferrante La Selvi, który czuł zbliżającą się burzę, przypomniał surowym głosem marynarzom o ich obowiązkach. Statek pochylił się całkiem na bok. Massacese, obydwa Talamonte, Ciru rzucili się na swoje stanowiska. Nazareno wydrapał się na maszt. Zwinięto żagle, oprócz dwóch przednich. I statek, pochylając się to na

jedną, to na drugą stronę, rozpoczął taniec na wzburzonych falach.

— Święty Rochu! Święty Rochu! — krzyczał Gialluca ze wzrastającą rozpaczą, podniecany także szumem i hukiem dokoła, utrzymując się w równowadze rękami i nogami.

Co chwila rozbijały się bałwany o poręcz i woda przelewała się z jednego końca pokładu na drugi.

— Zejdź na dół! — zawołał do niego Ferrante.

Gialluca zeszedł do kabiny. Czuł palący żar, a przytem wilgoć na całem ciele, i obawa choroby ściskała mu piersi. Pod pokładem, przy słabem świetle, dziwne wszystko przybierało formy. Słychać było groźne uderzanie fal o boki statku i trzeszczenie całego wiązania.

W pół godziny później wyszedł znów Gialluca na górę, przestraszony, jakby wracał z grobu. Wolał już być na powietrzu, na deszcz się wystawiać, wiatr wdychiwać, ludzi widzieć.

Ferrante, przerażony jego bladością, zapytał:

— Ale cóż tobie?...

I inni marynarze zaczęli, nie opuszczając swoich miejsc, debatować nad środkami ratunku.

Mówili głośno, krzycząc prawie, ażeby szum orkanu przygłuszyć. Każdy miał swoją własną metodę. Skończeni lekarze nie wydawaliby swego sądu z większą od nich pewnością. Wśród sporu zapomnieli o grożącem im niebezpieczeństwie.

Przed dwoma laty był Massacese świadkiem operacyi, w zupełnie podobnym wypadku, dokonanej przez prawdziwego lekarza na biodrze Giovanniego Margadonny. Lekarz przeciął wrzoda; potem, ażeby ranę wypalić, natarł ją namoczonymi w jakimś gorącym płynie kawałeczkami drzewa i w końcu pewnego rodzaju łyżką usunął zepsute ciało, które wyglądało jak fusy. Uratował życie Margadonnie.

Massacese wpadł w zapał. Jak chirurg, który nie wie, co to litość, powtarzał ciągle:

— Trzeba krajać! Trzeba krajać!

I zwracał się ku choremu, naśladując ręką ruchy krajania.

Ciru podzielał zdanie Massacese'a. Bracia Telamonte także się zgadzali. Ferrante La Selvi kręcił głową. W końcu Ciru robił propozycyę Gialluce. Gialluca jednak nie chciał się zgodzić pod żadnym warunkiem. Wówczas Ciru, nie mogąc zapanować nad swoim gniewem, zawołał brutalnie:

— Dobrze, to umieraj!

Gialluca pobladł jeszcze więcej i spoglądał na swoich towarzyszów wytrzeszczonemi z przerażenia oczyma.

Zapadła noc. W ciemości zdawało się, że morze i burza ryczą jeszcze straszniej. Ląd był już bardzo daleko. Marynarze, ażeby się uchronić od przewrócenia wskutek silnych wstrząśnień, trzymali się lin. Ferrante kierował sterem i rzucał od czasu do czasu:

— Idź na dół, Gialluca!

Ale dziwny wstręt do samotności wstrzymywał Giallucę, pomimo wyczerpania cierpieniem, od udania się do kabiny. Stał, także uczepiwszy się liny, z zaciśniętymi zębami. Za każdem uderzeniem w statek wielkiej fali, pochylali marynarze głowy i wszyscy równocześnie wydawali krzyk, jak zwykli czynić robotnicy, którzy przy pracy wspólnie ciężki muszą robić wysiłek.

Kiedy księżyc wysunął się z poza chmur, złagodniała burza. Ale morze pozostało całą noc dzikie, rozszalałe.

Rano rzekł Gialluca z rozpaczą do towarzyszów:

— Krajcie!

Najprzód odbyli towarzysze poważną naradę, rodzaj konsylium. Następnie zbadali wrzód, który urósł do wielkości pięści. Zewnętrzna powłoka, niedawno do gniazda os podobna, tworzyła teraz jednolitą skorupę.

Massacese rzekł:

— Dalej! Śmiało!

Miał objąć rolę chirurga. Próbował na paznokciu ostrości nożów i wybrał w końcu nóż starszego Talamonte'a, bo świeżo był ostrzony. Powtórzył:

— Dalej! Śmiało!

I jego i innych porwała niecierpliwość.

Chory wydawał się teraz jakby ogłuszonym: z oczami w nóż wlepionemi, z napół otwartemi ustami, ze zwieszonemi bezradnie ramionami, stał jak idyota.

Ciru kazał go posadzić, zdjął mu opaskę i wstrząsnął się ze wstrętu.

W milczeniu i z naprężoną uwagą pochylili się wszyscy nad raną.

Massacese rzekł:

— Tak i tak.

I oznaczył przytem końcem noża jak należy krajać.

Gialluca wybuchnął nagle płaczem. Łkanie wstrząsało całem jego ciałem.

— Odwagi! Odwagi! — powtarzali marynarze i trzymali go silnie za ramiona.

Massacese rozpoczął operacyę. Przy pierwszem poruszeniu klingi wrzasnął na cały głos Gialluca; potem zacisnął szczęki i słychać już tylko było jakby ryk tłumiony.

Massacese krajał zwolna, ale pewną ręką, wystawił przytem język, jak to było jego zwyczajem, gdy chciał coś ze szczególną dokładnością zrobić. Ale statek kołysał się straszliwie, i cięcie było nieregularne; nóż wchodził raz więcej, to znów mniej głęboko. Przy silniejszych wstrząśnieniach dostawała się klinga do zdrowego ciała. Gialluca po raz drugi wrzasnął i bronił się, cały krwią zalany, jak bydlę pod rękami rzeźnika. Nie chciał już.

— Nie, nie, nie!

— Nie ruszaj się! Nie ruszaj się! — krzyczał Massacase, któremu zależało na tem, żeby swoje dzieło doprowadzić do końca, z obawy, że przerwana operacya może jeszcze niebezpieczeństwo powiększyć.

Morze ciągle jeszcze wzburzone, rozbijało

się nieprzerwanie o statek. Na dalekim horyzoncie wznosiły się o lejkowatych formach chmury i rozszerzały się na ogołoconem z ptactwa niebie. Wśród burzenia się żywiołów, przy niepewnem świetle okrętowej latarni, wzrastał niepokój tych ludzi. Wśród borykania się z chorym potęgowała się ich złość.

— Nie ruszaj się.

Massacese zrobił jeszcze na chybił trafił trzy czy cztery cięcia. Z krwią zmieszana, biaława materya wypływała z rany. Wszyscy nią byli zbryzgani, oprócz Nazarena, który, trzęsąc się, stał oparty o poręcz, przerażony okropnym widokiem.

Ferrante La Selvi spostrzegł, że statek jest w niebezpieczeństwie i wydał na cały głos komendę:

— Do roboty! Obrócić statek!

Obydwa Telamonte, Massacese i Ciru wykonali manewr. Przechylając się to na jedną to na drugą stronę, przybrał znów statek właściwy kierunek. W dali wynurzała się wyspa Lissa. Przez chmury przeciskały się długie, świetlane gzygzaki, spadały na wodę, nowe co chwila na niebie wywołując zmiany.

Ferrante został przy sterze. Inni wrócili do Gialluc'i. Cięcia musiały być wyczyszczone, wypalone i założone szarpiami.

Operowany znajdował się teraz w stanie zupełnej niemocy. Zdawał się już o niczem nie mieć pojęcia. Patrzył na swoich towarzyszów przygasłemi oczami, owym złamanym wzrokiem zwierząt przed skonaniem. Od czasu do czasu wypowiadał jakby do siebie mówiąc:

— Jestem zgubiony. Jestem zgubiony!

Ciru próbował wyczyścić ranę kłakami, ale rękę miał ciężką i drażnił ją. Ażeby aż do końca naśladować przykład lekarza Margadonny, zaostrzył Massacese starannie dwa jednakowe jodłowe patyczki. Dwaj Talamonte zajęli się terem, bo terem postanowiono ranę wypalić. Niemożliwem było rozniecić ogień na pokładzie, z powodu przelewającej się nieustannie fali. Zeszli więc bracia Talamonte na dół do kajuty.

Massacese zawołał do Cira:

— Wymyj ranę morską wodą!

Ciru zrobił, jak mu polecono. Gialluca wszystko pozwalał robić ze sobą. Jęczał i kłapał zębami. Szyja jego stała się bezkształtną, poczerwieniała cała, miejscami zaś była niebieskawa.

Dokoła cięć widać już było kilka ciemnych plam. Chory z trudnością oddychał i męczyło go pragnienie.

— Módl się do świętego Rocha, — rzekł Massacese, który stał nad nim z zaostrzonymi patyczkami i na ter tylko czekał.

Wiatr pędził teraz statek na północ. Jakkolwiek morze szło jeszcze wysoko, burza jednak, zdawało się, była już przełamana. Przez rdzawe chmury przebijały się słoneczne promienie z wysokiego nieba.

Dwaj Talamonte przynieśli dymiącym się terem wypełnione naczynie.

Ażeby odnowić śluby złożone świętemu, ukląkł Gialluca. Przeżegnali się wszyscy.

— O, święty Rochu, bądź moim zbawcą! Ślubuję ci srebrną lampę i olej na cały rok i trzydzieści funtów świec! O, święty Rochu, bądź moim zbawcą! Mam żonę i dzieci... Miłołosierdzia, litości, o mój dobry, święty Rochu!

Gialluca klęczał ze skrzyżowanemi rękami i mówił głosem nie do poznania zmienionym. Potem usiadł znów i powiedział Massacesemu krótko:

— Rób.

Massacese obwinął patyczki kłakami, zamoczył je we wrzącym terze i wytarł tem ranę. Ażeby wypalenie gruntowniejszem i skuteczniejszem uczynić, nalał jeszcze trochę płynu w ranę. Gialluca nie wydał ani słowa skargi. Inni wzdrygali się na widok tych tortur.

Ferrante La Selvi rzekł ze swego posterunku, potrząsając głową:

— Zabiliście go.

Zanieśli Gialluc'ę na pół umarłego do kajuty i ułożyli go na pryczy. Nazareno miał poruczoną pieczę nad chorym. Z pokładu słychać było donośną komendę Ferrante'a i przyspieszone kroki marynarzy, wzywanych do manewrowania. „Trinita“ się skręciła i zatrzeszczała w wiązaniu. Naraz, Narazeno spostrzegł, że utworzyła się dziura. Krzyknął na załogę. Zbiegli się wszyscy. Wśród wrzasku i największego zamieszania, wysilano się, żeby szparę jak najprędzej zatkać. Można było myśleć, że statek już tonie.

Pomimo fizycznego i duchowego wyczerpania, podniósł się Gialluca na swojem legowisku, wyobrażając sobie, że „Trinita“ idzie pod wodę. Uczepił się ramienia młodego Talamonte'a i błagał:

— Nie opuszczaj mnie! Nie opuszczaj mnie!

Uspokoili go i położyli napowrót. Bał się, mówił bez sensu; płakał, nie chciał umrzeć. Zapalenie rozszerzyło się na całą szyję, kark, a nawet na część tułowiu, obrzmienie stawało się coraz monstrualniejszem, groziło mu uduszeniem. Trzymał szeroko otwarte usta, ażeby módz czerpać powietrze.

— Wynieście mię na górę! Brak mi tchu... umrę tutaj...

Ferrante wezwał ludzi na pokład. Statek lawirował wkoło, ażeby odzyskać właściwy kierunek. Ciężkie było manewrowanie. Z ręką na sercu szukał właściciel „Trinity“ odpowiedniego wiatru i wydawał potrzebne rozkazy. Nad wieczorem wygładziły się fale.

Po niejakim czasie wpadł na pokład Nazareno, trzęsąc się ze strachu, z okrzykiem:

— Gialluca umiera! Gialluca umiera!

Marynarze pobiegli na dół i zastali już swego towarzysza nieżywego na jego legowisku, całkiem rozrzuconem, z otwartemi oczami i napuchniętą twarzą, jak uduszonego.

Stary Talamonte rzekł:

— A teraz co?...

Inni milczeli i stali w osłupieniu przed trupem.

Nic nie mówiąc, wrócili znów na górę.

Talamonte powtórzył:

— A teraz co?

Zwolna zapadła noc nad wodą. Uciszyło się powietrze. Po raz drugi obrócono żagle. Na horyzoncie ukazała się wyspa Solta.

Marynarze zbici w gromadkę na pokładzie omawiali zdarzenie. Żywy niepokój przygniatał im serca. Massacese był blady i zadumany.

— Czy nie przypiszą nam winy jego śmierci? — rzekł w końcu. — Czy nie myślicie, że czekają nas nieprzyjemności?

Ta sama obawa dręczyła już wszystkich tych zabobonnych i nieufnych ludzi. Odpowiedzieli:

— Masz słuszność.

— A więc! Co robić?

Starszy Talamonte rzekł na to:

— Nie żyje, prawda? Rzućmy go do morza. Powiemy, że podczas burzy utonął... Tak będzie najlepiej.

Zgodzono się na tę propozycyę. Przywołano Nazarena.

— Ty, umiesz ty... milczeć jak ryba?

I groźnem zachowaniem wymusili na nim, że tajemnicę zapieczętuje w swojej duszy.

Zeszli potem na dół, ażeby przynieść trupa. Zwłoki czuć już było rozkładem i za każdem silniejszem wstrząśnieniem kapała gęsta ropa.

— Musimy go zapakować do worka — rzekł Massacese.

Przynieśli worek; ale trup wlazł tylko do połowy, zawiązali więc worek pod kolanami, tak, że nogi pozostały zewnątrz. Instynktownie rozglądali się wszyscy dokoła przy tem niemiłem zajęciu. Nigdzie nie było widać żagla. Odkąd się orkan uspokoił, szerokie, jednostajne fale poruszały morze Adryatyckie. Na horyzoncie wyłaniała się ciemno-niebieska wyspa Solta.

Massacese rzekł:

— Trzeba jeszcze kamień przywiązać...

Wybrali duży kamień z balastu i przymocowali go u nóg nieboszczyka.

— Dalej! — zakomenderował Massacese.

Podnieśli trupa ponad poręcz i rzucili za burtę. Rozstąpiła się woda, bluznęła wysoko

i zwarła się znowu. Martwe ciało spadało zwolna, kołysząc się, w głębię i zniknęło.

Marynarze wrócili znów na swoje stanowiska, czekając na ustalenie się wiatru... Zapalili fajki w milczeniu. Massacese rozglądał się ciągle bezwiednie, jak człowiek, który czegoś szuka.

Wzmógł się wiatr. Wydęły się żagle. „Trinita“ płynęła w kierunku wyspy Solty. Po dwugodzinnej żegludze byli na przesmyku.

Brzeg zalewało światło księżyca. Morze było spokojne, prawie jak jezioro. Dwa okręty opuszczały port Spalato i zbliżały się burta koło burty. Załogi śpiewały.

— Patrzcie! — zawołał, usłyszawszy znaną mu pieśń Ciru. — Nasi z Pescary!

Ferrante rozpoznał obrazy i znaki na żaglach i rzekł:

— Statki Rajmunda Callaresa...

I zawołał.

Swojaki odpowiedzieli mu głośnem hallo. Jeden ze statków wiózł suszone figi, drugi osły.

Kiedy się drugi statek na kilka stóp do „Trinity“ zbliżył, wymieniono pozdrowienia:

Ktoś zawołał:

— He! Giallu! Gdzież Gialluca?

Messacese odpowiedział:

— Zginął podczas burzy. Powiedzcie jego matce.

Nastąpiły potem różne wołania ze statku naładowanego osłami. Wreszcie pożegnano się.

— Zanieście pozdrowienie do Pescary! Do Pescary!

I załogi, oddalając się, zaintonowały znów pieśń przy jasnem świetle księżyca.

BOHATER.

Wielkie chorągwie świętego Gonzalva, wyniesione już na plac, poruszały się zwolna i ciężko na wietrze. Silne, muskularne, o śniadych twarzach postacie, trzymały je, jakby bawiąc się, w swoich rękach.

Mieszkańcy Mascalica obchodzili święto wrześniowe ze zwykłą okazałością. Serca wszystkich wypełniał głęboki, religijny nastrój. Cała gmina niosła swemu patronowi daninę z obfitych żniw w ofierze. Kobiety przystroiły ulice różnobarwnymi dywanami, mężczyźni obramowali drzwi świeżą zielenią, progi powysypywano kwiatami. Łagodny wietrzyk przeciągał ulicami, kołysząc, upajając tłumy.

Procesya, gotowa do pochodu, rozwinęła się od wejścia do kościoła wzdłuż placu.

Przed głównym ołtarzem ośmiu silnych, dobranych ludzi oczekiwało na chwilę, kiedy na

swoich barkach mieli unieść statuę San Gonzalva; byli to: Giovanni Curo, L'Ummalido, Mattala, Vizencio Guanno, Rocco di Cenzo, Benedetto Galante, Biaggio di Clisci i Giovanni Senzapaura. Dumni z zaszczytu, jaki im przypadł w udziale, stali niemi i uroczyści, spoglądając przed siebie. Byli jakby nabrzmiali siłą, zapałem skrzyły im się oczy.

Od czasu do czasu obmacywali, próbując, mięśnie swoich ramion i stawy rąk, jakby chcieli przekonać się o ich sile, przyczem uśmiechali się do siebie.

Olbrzymia, bronzowa statua świętego patrona o srebrnej głowie i srebrnych ramionach, jakkolwiek próżna wewnątrz, była nadzwyczajnie ciężka.

Mattala rzekł:

— Naprzód!

Wiedziony ciekawością, cisnął się lud zgromadzony dokoła. Szyby w oknach kościoła brzęczały za każdym silniejszym powiewem wiatru. Woń kadzidła wypełniała obszerną nawę kościoła. Chwilami słychać było dźwięk instrumentów. Jakiś rodzaj niewypowiedzianego wzruszenia ogar-

nął tych ośmiu ludzi, otoczonych kotłującym się tłumem. Byli gotowi.

Mattala liczył:

— Raz!... dwa!... trzy!...

Równocześnie i z całą siłą rzucili się wszyscy ośmiu do podniesienia z ołtarza figury. Ale ciężar był zbyt wielki. Statua pochyliła się na lewo. Nie zdołali jeszcze uchwycić jej dobrze i ugięli się pod nią zadyszani z wysiłku. Vinzencio Guanno i Giovanni Curo, mniej sprawni, puścili. Statua upadła na bok. L'Ummalido wrzasnął.

— Baczność! Baczność! — rozległo się ze wszystkich stron, gdy spostrzeżono niebezpieczne położenie świętego. Z placu dochodził ogłuszający hałas, który dominował nad wołaniem.

L'Ummalido osunął się na kolana, z prawą ręką, utkwioną pod bronzowym posągiem; w szeroko rozwartych oczach jego malowały się ból i przerażenie; kilka kropel krwi zciekło na ołtarz, nie skarżył się jednak.

Towarzysze jego zabierali się do podniesienia ciężaru, ale to nie było łatwą rzeczą. L'Ummalido wykrzywiał z bólu usta. Kobiety oniemiały ze zgrozy.

Nareszcie udało się dźwignąć w górę statuę i L'Ummalido wyciągnął z pod niej zmiażdżoną, krwawiącą rękę — nieforemną masę.

— Idź do domu! Idź! — wołali ludzie i popychali go ku drzwiom kościoła. Jedna z kobiet zerwała z siebie fartuch i dała mu go, ażeby sobie nim rękę obwinął. Nic nie mówiąc, wodził wzrokiem po ludziach, którzy się cisnęli do figury i sprzeczali między sobą.

— Bierz!

— Nie, daj spokój!

— Puszczaj mnie!

Cieco Pomo, Mattia Scarafolo i Tommaso di Clisci spierali się, kto ma objąć ósme miejsce po L'Ummalidzie.

Ten podsunął się do spór wiodących, z przyciśniętą silnie do boku zmiażdżoną ręką i rzekł zupełnie spokojnie:

— To miejsce do mnie należy!

Poczem wsparł lewem ramieniem świętego patrona i przyprowadził go do równowagi.

Nadludzkim wysiłkiem woli, zaciskając zęby, tłumił ból.

— Cóż ty myślisz robić? — zapytał Mattala.

— To, czego chce święty Gonzalvo, — od-

powiedział L'Ummalido i ruszył w pochód razem z innymi.

Ludzie patrzyli na niego zdumieni. Co chwila, na widok zakrwawionej, posiniałej ręki, zapytywał go ktoś:

— L'Umma, jak ci jest?

Nie odpowiadał. Kroczył poważnie w takt muzyki, z podaną cokolwiek naprzód głową, krępowany w ruchach coraz więcej wzrastającą ciżbą. Nagle upadł na skręcie ulicy. Pochód przystanął, święty zaczął tracić równowagę. Zaraz jednak ruszyła znów procesya. Mattia Scarafolo zajął opróżnione miejsce.

Dwaj krewni wzięli na ręce omdlałego L'Ummalida i zanieśli go do najbliższego domu.

Anna di Cenzo, stara, doświadczona w obchodzeniu się z ranami kobieta, spojrzała na okaleczałą, zakrwawioną rękę, pokiwała głową i rzekła:

— Niewiele tu da się zrobić!

Sztuką swoją nie mogła nic poradzić. L'Ummalido odzyskał przytomność, ust jednak nie otworzył.

Podniósł się na pół i spoglądał spokojnie na ranę. Z pogruchotanemi kośćmi zwisała

w dół nie do uratowania, stracona na zawsze ręka.

Przyszło paru starych, doświadczonych chłopów, ażeby ją obejrzeć.

Słowem i wzrokiem dawali wszyscy jedną myśl do zrozumienia.

L'Ummalido zapytał:

— Kto niesie świętego?

Odpowiedzieli mu:

— Mattia Scarafolo.

— A cóż teraz zamierzacie? — dopytywał się dalej.

Odpowiedzieli:

— Chcemy na nieszpory!

Chłopi pożegnali się i poszli na nieszpory. Z kościoła dochodziło dzwonienie. Jeden z krewnych postawił przed chorym wiaderko z zimną wodą i rzekł:

— Od czasu do czasu wsadź tu rękę. Wrócimy niebawem; idziemy teraz na nieszpory.

L'Ummalido został sam. Dzwony kołysały się żwawiej i brzmiały pełniej. Dzień miał się ku schyłkowi; w niskie okno uderzały gałęzie drzewa oliwnego, poruszane wiatrem.

L'Ummalido się nachylił i zanurzył rękę

w wodzie. Kiedy się krew spłukała, rana wystąpiła w całych rozmiarach.

„Na nic wszystko — myślał L'Ummalido, — przepadła! Święty Gonzalvo, tobie ją składam w ofierze“.

Wziął nóż i wyszedł. Ulice były puste. Wszyscy byli w kościele. Fioletowe chmury, podobne z kształtów do zwierząt, przeciągały ponad domami w świetle zachodzącego słońca.

Tłum modlił się w kościele. Monotonna litania rozbrzmiewała naprzemian z dźwiękami muzyki, jak śpiew choralny.

Z ciał zbitej masy ludzi i płonących świec woskowych unosiła się duszna atmosfera.

Srebrna głowa San Gonzalva błyszczała w górze, jak latarnia morska.

Wszedł L'Ummalido i ku zdziwieniu tłumu przecisnął się do samego ołtarza.

W ręku trzymał nóż i rzekł podniesionym głosem:

— Święty Gonzalvo, tobie ją przynoszę w ofierze!

I silnem pociągnięciem noża odciął z całym spokojem zgruchotaną rękę od stawu. Przerażony lud cofnął się. Bezkształtna, krwią zalana

ręka padła u stóp świętego patrona na miedzianą monetą wypełnioną tacę.

L'Ummalido uniósł w górę krwią ociekające ramię i rzekł jeszcze raz głosem donośnym:

— Święty Gonzalvo, tobie ją składam w ofierze!

SKRZYNIA.

Na odgłos kul, otworzył Łukasz swoje wielkie, niespokojne, zaiskrzone oczy i wlepił je w drzwi, których próg miał brat jego przestąpić. Jego twarz wychudzona chorobą, wyniszczona gorączką, obsypana czerwonymi pryszczami, przybrała nagle surowy, zły wyraz. Chwycił matkę nerwowo za rękę i zawołał podniesionym, rozdrażnionym głosem:

— Wypędź go! Wypędź! Nie chcę go widzieć! Słyszysz? Nie chcę go widzieć! Nigdy, nigdy już!... Słyszysz?...

Słowa uwięzły mu w gardle. Dusząc się z kaszlu, ściskał, przestraszony, ręce matki, na piersiach drgała mu koszula i roztwierała się w miarę oddychania. Wargi miał spuchnięte, a pozasychane na brodzie pryszcze tworzyły pewien rodzaj krusty, która za każdem poruszeniem pękała i krwawiła.

Matka starała się uspokoić go.

— Nie, nie moje dziecko. Nie zobaczysz go już nigdy. Zrobię wszystko, co chcesz. Wypędzę go, tak.. wypędzę go. Ten dom jest twój, mój synu, tylko twój. Rozumiesz mnie?

Łukasz kaszlnął jej w twarz.

— Teraz, zaraz, natychmiast! — powtarzał z zażartym uporem, podnosząc się na łóżku i popychając matkę ku drzwiom.

— Dobrze moje dziecko, zaraz, natychmiast.

W tem ukazał się Ciro na progu, podpierając się kulami. Był to biedny kaleka, z wielką, ociężałą głową. Włosy miał tak jasne, że wydawały się białymi. Z pod długich, jasnych rzęs, spoglądał niebieskiemi, łagodnemi oczami.

Wszedł w milczeniu. Paraliż pozbawił go mowy. Dostrzegł jednak z jaką złowrogą uporczywością utkwiły w nim oczy chorego. I oparty na kulach przystanął, wahając się, na środku izby i nie śmiał ani kroku postąpić. Widać było jak drgała z lekka jego prawa, wykrzywiona i krótsza noga.

Łukasz rzekł do matki.

— Czegóż on chce tutaj ten kuternoga? Wypędź go! Chcę, żebyś go zaraz wypędziła! Słyszysz? Natychmiast!

Ciro zrozumiał i spoglądał na matkę, która się nie podnosiła. Wzrok jego był tak błagalny, że nie miała serca dopuścić się gwałtu. Po chwili, opierając się silniej na jednej z dwóch kul, zrobił wolną ręką rozpaczliwy ruch i rzucał chciwe spojrzenia na stojącą w rogu izby skrzynię. Spojrzenia te mówiły:

— Jestem głodny!

— Nie, nie! Nic mu nie daj! — krzyczał Łukasz, wijąc się na łóżku i wpijając straszny wzrok w matkę. — Nie! Wypędź go!

Ciro zwiesił swoją wielką głowę na piersi. Drżał, oczy miał łez pełne. Gdy macocha położyła w końcu rękę na jego ramieniu i wypchnęła go za drzwi, wybuchnął głośnym płaczem, ale nie stawiał oporu. Widział, że drzwi za nim zamknięto i łkając, przystanął u zejścia na schody. Łkał gwałtownie, niepohamowanie.

— Słyszysz? — rzekł zgryźliwie Łukasz. — Dlatego to robi, żebym dłużej chorował.

Za drzwiami ciągle rozlegało się żałośnie łkanie brata, przerywane od czasu do czasu jakimś dziwnym jękiem, jakby stękaniem konającego zwierzęcia.

— Słuchaj! Zrzuć go ze schodów! Prędko!

Matka zerwała się w podskoku, wybiegła za drzwi i podniosła swoją ciężką rękę przywykłą do bicia i maltretowania niemego.

Łukasz, oparty na łokciach, powtarzał:

— Jeszcze! Jeszcze!

Ciro przycichł pod razami. Wyszedł na ulicę, wstrzymując się od płaczu. Był wygłodzony; od dwóch dni prawie nic nie jadł. Zaledwie miał siłę wlec kule za sobą.

Wpadła na niego zgraja uliczników. Biegli za latawcem, który szeleszcząc strzępiatym papierowym ogonem, wzbijał się w górę. Niektórzy go szturchali, wrzeszcząc:

— Hej! Z drogi, kuternogo!

Drudzy znów drwili:

— No, pędź, wyścigowcze!

Inni wreszcie pytali go szyderczo, mając na myśli jego wielką głowę:

— Co kosztuje funt mózgu, kuternogo!

Jeden, szczególnie okrutny, wyrwał mu kulę z pod pachy, rzucił ją i uciekł. Niemy się zachwiał, z trudnością potem podniósł kulę i powlókł się dalej. Wrzask i śmiech uliczników gubiły się nad rzeką. Latawiec, podobny do ptaka z bajecznej krainy, wzbijał się coraz wyżej pod

różowawe, uśmiechnięte niebo. Na placu śpiewała chórem gromadka żołnierzy. Była to najpiękniejsza pora, po świętach Wielkanocnych.

Ciro, któremu głód szarpał wnętrzności, pomyślał:

— Pójdę żebrać.

Z piekarni zalatywał przyjemny zapach świeżego chleba i zlewał się z wiosennym powiewem. Wyszedł stamtąd człowiek w białym, płóciennym kitlu. Niósł na głowie deszczkę z długim na niej rzędem świeżo upieczonych, złotawych, dymiących jeszcze bochenków. Za człowiekiem szły dwa psy, podnosząc w górę mordy, machając ogonami.

Ciro doznawał uczucia, jakby z osłabienia lada chwila miał runąć.

— Muszę iść żebrać, — powiedział sobie znów — bo umrę z głodu.

Zwolna zapadał zmrok. Przeźroczyste niebo zasiane było latawcami, które tu i ówdzie zniżały się ku ziemi. W czystem powietrzu rozbrzmiewały dzwony przeciągłymi dźwięki.

— Stanę u wejścia do kościoła — pomyślał Ciro.

I powlókł się pod kościół.

Świątynia była otwarta. Ołtarz w głębi, oświetlony małymi, migającymi płomykami, wyglądał jak gwiazda. Przez drzwi przeciskała się lekko woń kadzidła i miry. Z organów wybuchał od czasu do czasu potężny snop tonów.

Ciro uczuł nagle, że łzy znowu wypełniają mu oczy i w głębi serca modlił się gorąco:

— O, Panie, Boże mój, ratuj mnie!

Organy huknęły akordem, od którego drgnęły filary kościoła; potem w czystych, jasnych tonach zdawały się radować. Rozległy się głosy śpiewaków. Pobożni — kobiety i mężczyźni, wchodzili przez jedyne drzwi po dwoje, po troje. Ciro nie odważył się jeszcze wyciągnąć ręki.

Tuż obok niego zawodził jakiś żebrak:

— Dajcie jałmużnę, na miłość Boską, dajcie!

Naraz zawstydził się niemy.

Zobaczył wchodzącą do kościoła macochę, całą otuloną dużą, czarną mantylą. I pomyślał:

— Gdybym tak poszedł teraz do domu, korzystając z nieobecności macochy?

Męki, jakie mu głód sprawiał, były tak straszne, że nie wahał się ani chwili. Puścił się na swoich kulach w pogoń — za chlebem. Jakaś

potrącona przez niego kobieta zawołała, śmiejąc się:

— Chcesz chyba wielką nagrodę wygrać, kuternogo?!

W jednej chwili stanął przed domem, z bijącem sercem, bez tchu. Z niebywałą u niego ostrożnością bez zwykłego, sprawianego kulami hałasu wygramolił się po schodach. Po omacku szukał klucza w szczelinie muru, gdzie go matka, wychodząc, miała zwyczaj chować. Znalazł go, i zanim otworzył, zajrzał przez dziurkę w zamku. Łukasz, zdawało się spał, na swojem łóżku.

— Żebym to mógł wziąć sobie chleba, — myślał Ciro — nie zbudziwszy go...

I wstrzymując oddech, obracał klucz zwolna, a serce biło mu tak silnie, że obawiał się, czy tem nie zbudzi brata. Było mu tak, jakby to bicie wypełniało cały dom ogłuszającym hałasem.

— A jeżeli się zbudzi? — przychodziło mu na myśl, i dreszcz go przeniknął od stóp do głowy, gdy uczuł, że drzwi się otwierają.

Ale głód dodawał mu odwagi. Wszedł, stawiając przezornie kule i nie spuszczając oczu z brata.

— A jeśli się zbudzi?...

Brat, leżąc na wznak, oddychał ciężko we śnie. Na stole stała zapalona świeca i rzucała wielkie, ruchome cienie na ścianę.

Ciro podsunął się do skrzyni, spoglądał chwilę na brata, rozparł się potem silnie na kulach i zaczął wieko podnosić. Zgrzytnęły nawiasy.

Łukasz drgnął, otworzył oczy. Domyślił się, co Ciro chce zrobić. Wrzasnął i trzęsąc się, wygrażał mu jak opętany pięściami.

— Złodziej! Złodziej! Na pomoc!

Ogarnęła go wściekłość. I podczas gdy jego brat, zaślepiony strasznym głodem, pochylony nad skrzynią, szukał kawałka chleba drżącą ręką, wyskoczył z łóżka i rzucił się na niego, ażeby mu przeszkodzić coś zabrać.

— Złodziej! Złodziej! — wrzeszczał jak szalony.

I jak szalony spuścił z całej siły ciężkie wieko na kark swego brata, który szamotał się rozpaczliwie, niby ofiara w zatrzask pochwycona. Ale wszelkie wysiłki na nic się nie zdały; Łukasz stracił zupełnie świadomość tego, co czyni; całym swoim ciężarem przygniatał wieko, jakgdyby

chciał głowę brata oderwać od tułowia. Wieko trzeszczało, wrzynało się w kark, gniotło krwionośne naczynia na szyi, darło żyły i nerwy, aż w końcu bezwładne ciało zawisło na skrzyni, ciało, w którem już ani śladu nie było widać życia.

Widok zamordowanego kaleki napełnił straszną, aż do obłędu, trwogą duszę bratobójcy. Zataczając się, przebiegł parę razy izbę, którą migocące światło świecy potwornemi zdawało się wypełniać widmami; porwał kołdrę, zarzucił ją na siebie, obwinął się, głowę sobie nakrył i wcisnął się pod łóżko.

Wśród zalegającej izbę ciszy, rozchodził się tylko zgrzyt zębów, jakby pilnika po żelazie...

CEKINY.

Passacantando wszedł tak gwałtownie, że w niedomykających się drzwiach zabrzęczały szyby. Porywczym ruchem strząsnął krople deszczu z ramion, rozejrzał się badawczym wzrokiem po izbie, wyjął z ust fajkę i plunął z wyrazem pogardy w wielkim łuku za szynkwas.

Dym tytoniowy tworzył w szynkowni wielką niebieskawą chmurę, przez którą można było dostrzedz różne twarze pijaków i rozpustnych kobiet. Był tam Pachio, majtek inwalid z brudną opaską na prawem oku, oszpeconem jakąś szkaradną chorobą. Był Binchi-Banche, zausznik urzędników cłowych, mały człowieczek o twarzy żółtej, pomarszczonej, jak wyciśnięta cytryna, o zgarbionych plecach i chudych nogach, tkwiących w wysokich, powyżej kolan butach. Był Magnasangue, rajfur garnizonu, przyjaciel wędrownych komedyantów, jarmarcznych kuglarzów, magnetyzerów i niedźwiedników, całej tej zgłod-

niałej hałastry, wałęsającej się po kraju, wyciągającej pieniądze z kieszeni próżniaków. Były tam także piękności z domu Fiorentina: trzy czy cztery występnem życiem zupełnie zrujnowane kobiety, z uszminkowanymi na kolor cegły policzkami, z bestyalskiemi oczami i zwiędłemi, sinemi, podobnemi do fig przejrzałych ustami.

Passacantando postąpił parę kroków i usiadł pomiędzy Picą i Peppucią na ławie pod ścianą, zasmarowaną sprośnymi napisami. Był to wybujały, zaniedbany chłopisko o bladej bardzo twarzy, na której olbrzymi, krogulczy nos dominował nad wszystkiem. Uszy, sterczące po dwóch stronach głowy, miał nierównej wielkości. W kątach jego grubych, jak cynober czerwonych warg widać było stale parę małych baniek białawej śliny. Czapka, lipka z brudu i sztywna, jakby nawoskowana, nakrywała jego bujne, kędzierzawe włosy, z których jeden lok, niby korkociąg spadał mu aż po koniec nosa, podczas gdy drugi plątał się po skroniach. Cała jego postać, każdy ruch, ton głosu, spojrzenia wskazywały na pewne wrodzone prostactwo i bezczelność.

— Hola! Afrykanko, kwarta! — krzyknął stu-

kając glinianą fajką po stole tak, że się w skorupy rozleciała.

Afrykanka, to gospodyni szynku. Wysunęła się z za lady, kołysząc się, jak kaczka, z powodu zbyt obfitych kształtów swego ciała, zbliżyła się do stołu i postawiła po brzegi winem wypełnioną karafkę przed Passacantandem. Spoglądała przytem na hultaja miłośnie łakomemi oczyma.

Passacantando tymczasem zarzucił ramię na szyję Peppuccii i zmusił ją do picia, poczem przyczepił się swojemi ustami do jej ust, pełnych jeszcze wina; wśród wybuchów śmiechu broniła się Peppucia i obryzgiwała twarz swego wielbiciela niepołkniętym jeszcze trunkiem. Afrykanka pozieleniała. Usunęła się znów za swoją ladę. Przez zbitą chmurę dymu słyszała krzyki i oderwane zdania Peppuccii i Pic'i.

Oszklone drzwi otworzyły się znowu i na progu ukazał się Fiorentino, zawinięty cały w płaszcz z kapturem, jak policyant.

— Heda! Dziewczęta! — zawołał podniesionym głosem, — czas już!

Peppucia, la Pica i inne podniosły się pomimo, że mężczyźni zatrzymywali je słowami

i giestami, i wyszły za swoim chlebodawcą na deszcz, który całą ulicę przemienił w brudne jezioro. Pachio, Magnasangue, wszyscy, jeden po drugim opuścili szynkownię, z wyjątkiem Binchi-Banche'a, który, pijany do bezprzytomności, pozostał pod stołem. Dym podnosił się zwolna pod sklepienie i robiło się jaśniej. Napuszona synogarlica podskakiwała dokoła i zdzióbywała kruszki chleba po podłodze.

Kiedy i Passacantando zrobił także minę, jakby się chciał podnieść, skierowała się ku niemu powoli Afrykanka, z wysiłkiem, który jej potwornej figurze miał dodawać wdzięku. Jej olbrzymie piersi kiwały się to w prawo, to w lewo a twarz, niby księżyc w pełni, przybierała dziwnie śmieszny wyraz. Na twarzy miała dwie czy trzy brodawki z małymi kosmykami; gęsty mech pokrywał jej górną wargę i policzki; krótkie, twarde, wełniste włosy otaczały głowę, jakby pewien rodzaj hełmu; krzaczaste brwi zrastały się na jej płaskim nosie tak, że na pierwszy rzut oka czyniły ją podobną do jakiegoś strasznego hermafrodyty, dotkniętego wodną puchliną.

Kiedy stanęła tuż przed Passacantandem, porwała go za rękę, ażeby go zatrzymać.

— Ach! mój mały Giannetto!

— Czego ty chcesz?

— Cóżem ci zrobiła?

— Ty? Nic.

— A więc dlaczegóż mi robisz tyle zmartwienia i przykrości?

— Ja? Pierwszy raz to słyszę... Dobranoc. Nie mam dziś czasu do stracenia.

I brutalnym ruchem gotował się do odejścia. Ale Afrykanka rzuciła się na niego, objęła go ramieniem, przytuliła swoją twarz do jego twarzy, przycisnęła się do niego całym ciężarem swojego ciała; i wybuch jej namiętności był tak gwałtowny, jej wściekła zazdrość była tak straszną, że Passacantando oniemiał.

— Czego chcesz! Czego chcesz? Powiedz mi! Czego potrzebujesz? Czego potrzebujesz? Wszystko ci dam, wszystko. Ale bądź moim, bądź moim! Nie dręcz mnie... Nie doprowadzaj do szaleństwa... Czego potrzebujesz? Chodź! Bierz wszystko, co znajdziesz.

I pociągnęła go do szynkwasu, otworzyła

szufladę i ruchem ręki ofiarowała mu wszystko co w niej było.

Szuflada, błyszcząca z brudu, zawierała porozrzucane monety miedziane, wśród których lśniło się parę sztuk srebrnych. Wszystko to razem mogło uczynić jakie pięć lirów.

Nie wypowiedziawszy ani słowa, zgarnął Passacantando pieniądze i zaczął je z pogardliwym uśmiechem przeliczać na ladzie. Afrykanka, dysząc, jak dzika, ujarzmiona bestya, spoglądała to na pieniądze, to na twarz hultaja. Słychać było metaliczny dźwięk miedzi, chrapanie Binchi-Banche'a, podskoki synogarlicy, a z odgłosami tymi mieszał się głuchy, bez końca, szum deszczu, zalewającego ulice, i rzeki, toczącej z góry na dół swe fale.

— To mało, — rzekł w końcu Passacantando. — Chcę także mieć tamte... Przynieś więcej, albo sobie pójdę. Zasadził czapkę na tył głowy. Trybuszonowaty lok spadał mu na czoło, a z pod loka spozierały na Afrykankę jego bezwstydne, chciwe, białawe oczy i otumaniały ją swoim blaskiem, jakby pewnego rodzaju złym czarem.

— Nie mam już nic więcej. Zabrałeś mi

wszystko. Bierz wszystko, co znajdziesz...—szepleniła ulegle i przymilająco.

Drżały jej obwisłe piersi i wargi; z jej małych, świńskich oczu ciekły łzy.

— Oho! — syknął Passacantando, zbliżając się do niej. — Oho! Cóż ty sobie myślisz, że ja nic nie wiem?... A złote cekiny twojego męża?

— Ach! Giannetto... A jakże ja to mogę zrobić?

— Idź zaraz, przynieś je. Czekam tu na ciebie. Mąż śpi. Najstosowniejsza właśnie teraz chwila. Idź, bo inaczej — na Świętego Antoniego! — nie zobaczysz mię tu już nigdy.

— Ach Giannetto!... boję się.

— Do dyabła z twoją bojaźnią! — wrzasnął Passacantando. — A więc idę z tobą. Chodź...

Afrykanka zaczęła się trząść. Wskazała na Binchi-Banche'a, który ciągle jeszcze spoczywał pod stołem.

— Najprzód musimy zamknąć, — radziła potulnie.

Kopnięciem nogi zbudził Passacantando Binchi-Banche'a, który, zbudzony nagle ze snu zaczął wyć z przerażenia i giestykulować jak waryat, dopóki go nie wyrzucili na błoto uliczne.

Drzwi się znów zamknęły. Czerwona latarnia, wisząca w jednem z okien, oświetlała szynk brudno-czerwonawem światłem; masywne sklepienie występowało w tym głębokim cieniu w ostrzejszych zarysach; schody w kącie chowały się w tajemniczej ciemności; całe wewnętrzne urządzenie wyglądało jak romantyczna dekoracya, przygotowana do wystawienia jakiegoś strasznego dramatu.

— Chodź! — powtórzył Passacantando Afrykance, ciągle jeszcze drżącej.

Weszli cicho oboje na kamienne schody, wznoszące się w najciemniejszym kącie — naprzód ona, za nią on. Na górze tuż koło schodów, znajdował się pokój o powale z belek. W jednej ścianie osadzona była Madonna z niebieskawego fajansu, przed którą w szklance, wypełnionej wodą i oliwą, paliła się wieczna lampa. Inne ściany pokrywały, niby pstra wysypka, liczne, potargane papierowe obrazki. Woń ubóstwa, woń gałganów, ogrzanych ludzkiem ciałem wypełniała izbę. Złodzieje zbliżali się ostrożnie do łóżka. Stary leżał w małżeńskiem legowisku, pogrążony w głębokim śnie. Z bezzębnej jamy ustnej i tabaką zapchanego nosa

wydobywał się oddech, coś w rodzaju przytłumionego świstania. Głowa spoczywała głęboko na poduszce w prążkowatej poszewce; usta, podobne do dziury w zepsutym harbuzie, otaczały szczecinowate wąsy, pożółkłe z tabaki; jedno, widoczne ucho, wyglądające jak wynicowane ucho psa, pełne było włosów, pryszczów i świeciło się z tłuszczu. Jedno ramię, gołe, chude, z występującemi silnie żyłami, zwisało z pod kołdry. Ręka, zgięta z przyzwyczajenia do chwytania czegoś, trzymała koniec prześcieradła.

Wstrętny ten staruch posiadał już oddawna dwa złote cekiny, które mu jakiś lichwiarz z jego familii zapisał testamentem; i przechowywał je z zazdrosną troskliwością w rogowej tabakierce, zagrzebane w tabace. Były to dwa żółte, błyszczące cekiny; i stary, kiedy między wielki a wskazujący palec nabierał wonnego proszku i przypatrywał im się przytem i obmacywał co chwila, czuł w sobie wzrastającą namiętność skąpca i rozkosz posiadania.

Afrykanka, z zapartym oddechem, na palcach, przystąpiła do łóżka, podczas gdy Passacantando zachęcał ją giestami do kradzieży. Wtem,

usłyszeli jakiś szmer na schodach. Skoczyli oboje. Do pokoju weszła napuszona, podskakująca synogarlica i chciała się w starym pantoflu, w nogach małżeńskiego łoża wygodnie umieścić. Że jednak, sadowiąc się, robiła za dużo szelestu, szybkim ruchem chwycił ją Passacantando i skręcił jej szyję.

— Masz? — zapytał Afrykanki.

— Tak, tutaj, pod poduszką,—odpowiedziała, sięgając ręką do kryjówki.

Stary poruszył się we śnie, jęknął instynktownie i między powiekami można było zobaczyć cokolwiek białka jego oczu. Potem zapadł znów w swoje starcze znieczulenie.

Nadmiar strachu dodawał Afrykance odwagi; wsunęła prędko rękę dalej, porwała tabakierkę, rzuciła się, jakby ją kto gonił, na schody i zbiegła na dół. Passacantando pospieszył za nią.

— Ach, mój Boże! Mój Boże! Widzisz, do czego mię doprowadziłeś!... — jęczała, padając na niego całym swoim ciężarem.

Drżącemi rękami zabrali się oboje do otworzenia tabakierki i wyszukania cekinów w tabace. Przenikliwy zapach uderzył ich w nos, i oboje, czując, że im się zbiera nagle na kichnięcie, nie

mogli się powstrzymać od wybuchu śmiechu, przyczem zataczali się i potrącali wzajemnie. Wesołość ta obudziła w Afrykance lubieżne pragnienia; szczypanie, poklepywanie, drażnienie przez Passacantanda sprawiało jej rozkosz: odchodziła od siebie, drżała, trzęsła się w swojej strasznej brzydocie. Ale naraz usłyszeli coś: najprzód niewyraźne krząkanie, potem chrapliwy krzyk, wypełniający powietrze. To stary zjawił się na górze na schodach, blady, jak trup, w czerwonawem świetle latarni, chudy jak szkielet, z gołemi nogami, w podartej koszuli. Zobaczył na dole złodziejską parę i, wymachując rękami, jak potępieniec, dookoła siebie, wrzeszczał w niebogłosy:

— Cekiny! Cekiny! Cekiny!